Nr. 4. Warszawa, dnia 26 (14) Stycznia 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub [illegible]

POLITYKA.

BURZA WE FRANCYI.

Nowa burza w tym burzliwym narodzie, a burzliwszem jeszcze państwie republikańskiem. Od czwartku przeszłego tygodnia ma rzeczpospolita nowego prezydenta. Wybrany po Carnocie d. 27 czerwca r. z. Casimir Périer, dn. 15 b. m. dobrowolnie ustąpił, a we dwa dni później kongres wersalski obrał na jego następcę Feliksa Faure'a, dotychczasowego ministra marynarki. Do dnia 22 b. m. tak wybrany nowy zwierzchnik państwa a piastun władzy wykonawczej nie miał ani zwierzchniego oka ani wykonawczego ramienia; pięć dni nie wystarczyło mu na wytworzenie gabinetu. Krajem rządzą tymczasowi ministrowie nieistniejącego już prezydenta: Francya ma administracyę, ale nie ma rządu. Ta trudność dobrania sobie ministrów charakteryzuje już sama przez się i burzliwość stosunków, i chwiejność dokonanego wyboru, i wątłość nowej prezydentury. Gdy się staje na czele narodu, powinno się rosnąć w nim siłą własną, stosunkami i zaufaniem publicznem, przynajmniej tak, ażeby nie rozpoczynać swych funkcyj od niemocy. Ale nowy elekt w przeddzień wyboru swego jeszcze się go nie spodziewał, a podczas samej elekcyi zawdzięczył swe powodzenie tylko zrzeczeniu się głosów przez jednego ze współzawodników. Nic dziwnego, że taki człowiek teraz szukać dopiero musi i znaleźć nie może.

Co wywołało burzę? Nowa Panama. Osławiony Reinach po śmierci jeszcze wyłazi Francyi bokiem. Urządzał on prócz szacherek panamskich jeszcze i wiele innych, a nie najmniejszą z koleją „Ch. de fer du Midi"; państwo poręczyło mu dochody, jakich nigdy mieć nie mógł. Rada stanu uświęciła to nadużycie, trzymając się martwej litery prawa, a żaden rząd nie ośmielił się tej martwoty poruszyć. Ostatnią pieczęć na niej wyciśnięto w samej Izbie w r. 1883, przy zatwierdzaniu umów kolejowych ze skarbem, kiedy min. robót publicznych był Raynal, przyjaciel Périera. Nieprzyjaciele jego znowu, socyaliści, wygrzebali żar z pod popiołu. Jeszcze przed świętami grudniowemi Jaurès wytoczył sprawę przed Izbą. Wczasy świąteczne bieg jej wstrzymały, a tymczasem sam interpellant za nieprzyzwoitość w mowie, dostał na usta kaganiec: wykluczono go z Izby na cały szereg posiedzeń. Ale po świętach, jego współwyznawca polityczny Millerand, człowiek najwybitniejszy może w stronnictwie jako mówca, nie zaspał sprawy. Prezes gabinetu Dupuy zajął stanowisko nieszczere: bronił rady stanu, ale nie powiedział stanowczo, czy chce czy nie, zbadania stosunków, bądź co bądź podejrzanych. Szczerszym był minister robót publicznych Barthou: owej decyzyi rady stanu nie uważał za niewzruszoną. Powstała stąd niezgoda i minister wydziałowy usunął się z gabinetu.

Dla rządu był to cios: przeciwnicy dostrzegli go i nie zaniedbali skorzystać. Millerand gwałtownie napadł i dopomniał się śledztwa. Ustąpienie Barthou, osłabiając gabinet w chwili walki, przynosiło już w sobie pewien prejudykat dla zwycięstwa. Nawet barwa polityczno-społeczna wnioskodawcy, domagającego się komisyi śledczej, nie zdołała zapobiedz wytworzeniu się większości, przychylnej dla wniosku: uchwalono śledztwo. P. Dupuy, jak nie umiał zawczasu w dobrej sprawie wytrącić oręża z rąk socyalistów, tak w ostatniej chwili nie umiał schwycić się deski ocalenia, jaką mu dać mogło przemówienie choćby spóźnione za komisyą, a przeciwko złodziejom—w samej zasadzie. Nawet taka Izba, pełna jeszcze zaduchów panamskich musiała otworzyć prezesowi ministrów drzwi do wyjścia. Gdy Pourquery de Boisseré wezwał rząd do szanowania praw rzeczypospolitej, w Izbie znalazły się zaledwie dwa głosy większości odrzucającej taką rezolucyę. Wtedy życzliwy gabinetowi Trelant podał p. Dupuy jeszcze żerdź, aby się mógł z toni ratować, minister ją pochwycił i dla rezolucyi Trelanta zażądał pierwszeństwa przed innymi porządkami dziennymi. Ta zuchwałość go zgubiła; Izba odrzuciła żądanie, przewagą 22 głosów. Dupuy upadł.

Stało się to d. 14 b. m. Podanie się gabinetu do dymisyi prezydent rzeczpospolitej przyjął z przerażeniem. Usiłował jeszcze nakłonić ministra do pozostania na stanowisku; a gdy usiłowania te na niczem spełzły, bo spełznąć musiały — poznał, że za płaszczem musi pójść i książę. Dupuy był przez te sześć miesięcy prezydowania Francyi jedynym ministrem, na którym Périer grać umiał: po za nim nie znalazłby dziś nikogo w stronnictwie umiarkowanem, ktoby chciał stanąć u niewesołego steru. Człowiek, po pierwszem orędziu prezydyalnem z d. 3 lipca 1894 r., nazywany przyszłym dyktatorem Francyi, okazał się bezsilnym jako normalny prezydent, gdy mu przyszło znaleźć nowe *subjectum* = miejsce jedynego, którym się dotychczas posługiwał. Może być, że Francya nie ma ludzi odpowiednich w swem łonie, ale niewątpliwie i Périer nie ma odpowiednich idei w swej głowie. Wyznawca parlamentaryzmu byłby wezwał Brissona i Challemel-Lacoura, jako przedstawicieli zgromadzenia narodowego; polityk, dostrzegający konieczność, byłby się przechylił w danej chwili na lewo: Casimir-Périer wolał dochować wiary swym przekonaniom, to jest — poddać się swej bezsilności — i ustąpić.

Ustąpienia tego dokonał przez orędzie z d. 15 b. m., w którem, pomijając rzeczywiste powody i przyczyny przesilenia w rządzie, wywłóczy jakieś żale i zawody, utyskuje i polemizuje w sposób niegodny politycznego przewodnika narodu. Akt ten

przypomina gniew dziecka, bijącego stół, o który się uderzyło. Po prostu: władza Périerowi już ciążyła; nietylko do dyktatury, ale do zwykłej, prostej prezydentury sił nie miał. Chciał, żeby mu ta rozkoszna kraina mlekiem i miodem płynęła, a tu ona krzyczy piekielnymi wrzaskami, płomieniami wybucha — płynie zbyt często błotem. Wiedzieć powinien był o tem, gdy przyjmował ten dar Dejaniry, jakim jest dziś władza we Francyi. A może myślał, że go na nowo wybiorą, i ustępując, chciał tylko nowego wyboru, nowego mandatu? Może myśl taka świtała mu rzeczywiście w głowie, ale się jej prędko wyrzec musiał po rozmowach z Dupuy i Challemel-Lacourem, którzy go odwodzili od dymisyi. Prezydent potwierdzony, byłby prezydentem upoważnionym do zamachu stanu. Izby, jeśli je komu dadzą, to ten ktoś musi mieć lepszą kwalifikacyę, niż Périer.

We środę d. 16 b. m. odczytano orędzie w obu Izbach i obie, uznając dymisyę za fakt dokonany, postanowiły zebrać się nazajutrz w Worsalu na wybór nowego prezydenta. Operacya poszła teraz łatwiej, niż dawniejszymi czasy. Rzeczywistych kandydatów było tylko dwóch: Brisson — postępowy i Waldeck-Rousseau — umiarkowany, ale stanowczy republikanin. Lękano się czerwoności pierwszego, samodzielności drugiego: i *wypośrodkowano* kandydaturę Faure'a, o którym przedtem niktjeszcze nie marzył, i ten oportunistyczny kandydat został prezydentem oportunistycznej Rzeczpospolitej. Waldeck-Rousseau zrzekł się na niego swych głosów i wtedy z liczby ośmiuset kilku Faure miał za sobą 438 przeciwko trzystu kilkudziesięciu głosom Brissona. Za nowym prezydentem przemawia to, że jest *self-made-man*'em; był jako podsekretarz (pomocnik ministra) kolonij dość rozgarniętym; obecnie już samem powołaniem Bourgeois na prezesa gabinetu dowiódł, że umie się rozglądać w położeniu. Urodzony w Paryżu, ma lat 54; jest milionerem w Hawrze. Jak na syna tapicera — to w każdym razie niepospolita energia egoizmu. Zobaczymy, czy na prezydenturze mieć będzie energię umysłu i charakteru.

TYDZIEŃ POLITYCZNY

We Francyi jeszcze w d. 22 b. m. p. Faure był prezydentem bez ministrów. Bourgeois nie zdołał zbudować gabinetu „koncentracyi republikańskiej" z Cavaignac'em i Peytralem jako ludźmi barwy czerwieńszej, z Poincare i Verninac'em jako bielszymi; z dawniejszych utrzymać miał prócz Poincarégo, jeszcze Hannotaux, Leygues'a i Delcassé'go. Koncentracya skończyła się rozsypką. Faure wszakże nie cofnął swego zaufania: Bourgeois nie przestaje budować, teraz już bez Poincaré'go, z którym głównie Cavaignac, dobra siła republikańska, razem iść nie chce. Nowa formacya ma objąć także senatora Combes'a, Cocherego nawet Loubeta i Spullera; jeżeli się zbyt długo przeciągnie bez skutku, przewidują powrót do niedawnionego p. Dupuy, mającego więcej zdolności administracyjnych, niż ściśle politycznych, ale otrzaskanego z rządami, a wyposażonego w niewątpliwą energię.

Wybór p. Bourgeois na prezesa ministrów wskazuje, że p. Faure nie lęka się lewicy tak, jak jego poprzednik. Bourgeois jest radykalistą, ale poważnym, a przytem charakterem prawym i dzielnym—jednym z najlepszych we Francyi. W grudniu 1892 r. podczas wybuchu Panamy zajął on prawdziwie rozumną i uczciwą postawę i wobec oporu miernot, które Carnot do siebie był dopasował jako swych ministrów, ustąpić musiał z gabinetu, w którym był osobistością wyjątkową. Prócz powyższego wyboru d'brze uprzedza odpowiedź Faure'a na przemówienie Dupuy po kongresie wersalskim d. 17 b. m. Nowy prezydent rzeczpospolitej chce być rozjemcą stronnictw i odwołuje się do wszystkich odcieni republikańskich. Hasłem jego rządów będzie: miłość ojczyzny, przywiązanie do rzeczypospolitej, cześć dla sprawiedliwości i troska o los szczególniej małych i biednych.

Książę Orleański Ludwik Filip zaraz po wybuchu przesilenia przyjechał do Dawru, aby stamtąd według okoliczności zbawiać Francyę. Na początek wydał manifest w formie listu do Buffeta. Pretendent korzysta tu ze słabych stron orędzia pożegnalnego, aby zamiast w Périera ugodzić w rzeczpospolitą: ta forma rządu we Francyi może być tylko tymczasową, trwałą—jedynie monarchia. Wkrótce już naród powróci do tej formy, która opromieniała jego przeszłość. Tymczasem na prezydenta trzeba wybrać człowieka miłującego porządek i zdolnego do przedstawiania Francyi na zewnątrz z godnością. „Dziś ocalajmy ojczyznę—wola książę—jutro pracować będziemy nad jej wielkością." Jutro jeszcze dalekie.

We Włoszech p. Crispi, wydawszy za mąż swą córkę, z uroczystością jakby aktu państwowego, korzysta dalej z zaufania królewskiego i po samowolnem odroczeniu sejmu nakłonił już króla ostatecznie do zupełnego rozwiązania Izby deputowanych. Dekretu jeszcze niema, ale z głosów gazet, oddanych byłemu garybaldyście i republikaninowi zażartemu, widać, że prezes gabinetu myśli już o terminie wyborów. Mają się one odbyć aż 28 kwietnia, gdyż Crispi chce dać prefektom i żandarmom czas do obrobienia wyborców. Na domiar nędzy, wybory odbyć się mają pod hasłami: „z Crispim" i „przeciwko Crispiemu." Włoch już niema; tylko Crispi. — Starcie z abisyńczykami około Asmary i Keronu zakończyło się dobrze dla włochów: Baratieri pod Cotitem tak rozgromił około 12 b. m. Ras. Mangaszę, że mu nawet papiery jego zabrał. Po stronie włoskiej straty dochodzą do 300 zabitych i rannych, ale nie martwią Włoch jako narodu, bo jeszcze poprzednik Baratierego postarał się o miejscowe *chair à canon*: kilku zaledwie włochów dotknęły kule abisyńskie. Pod samą Kassalą była jakaś potyczka z derwiszami, którzy jakoby zgromadzić tam mieli 10.000 walecznych: i najwaleczniejsi nic nie zrobią; Włochy mają już swój Sudan. — W Medyolanie d. 17 b. m. zamordowano prokuratora rządu apelacyjnego, Celli. Morderca podał swe nazwisko — „Attilio Bellocchio," stan — „anarchista."

Nowy gabinet węgierski w składzie podanym tu przed tygodniem, przedstawił się obu Izbom dopiero d. 19 b. m. Izbie

---

4)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ALRUN.

Widok 5.

Noc jeszcze nie wyruszyła na ziemię, ale już biegł przed nią i ogłaszał nadejście władczyni orszak jej ciemów. Słońce dogasało na widnokręgu w szarej chmurze, jak głownia w popiele. Coraz bliżej i mocniej rozdzierały ciszę dzikie wrzaski i śpiewy. Nareszcie w łożysku jaru, nieopodal miejsca, skąd Aryos z Orlą pomknęli, ukazała się pląsająca gromada, niby odcięty kawał wzburzonej rzeki. Pierwsze jej szeregi biły zapamiętale w bębny i wydobywały ostre gwizdy z piszczałek; następne, otaczające starego wodza, Ukora, utatuowanego wizerunkami skrzydlatych słoni i omazanego zakrwawioną gliną, niosły na włóczniach zatknięte głowy pokonanych nieprzyjaciół. Oprócz jeńców, idących w milczeniu i omdlewających z ran lub znużenia, wszyscy wyli tak przeraźliwie, że strwożone zwierzęta i ptaki zdala przed nimi uciekały, jak przed uraganem.

Chór I.

Narąbaliśmy głów,
Nakrajaliśmy serc,
Napiliśmy się krwi,
Chwała ci, Topanie.

Cały lud tam już legł
Lub w niewoli tu dyży,
Zabraliśmy, co miał,
Dzięki ci, Topanie.

Za to z jeńców ich ciał
Z psów, kangurów i kóz,
Z dymów mięsa i par
Weźmiesz część, Topanie.

Chór II.

Sub bóg wielki,
Bóg najlepszy,
Nam da siłę,
Wrogom niemoc
Sobie, Sobie!

Przytęp strzały,
Osłab szczęki,
Zwichnij skrzydła
Urwij płetwy
Dla nas, Sobie!

Świat nam oddaj
W używanie,
Wszystko mięso,
Ogień, wodę,
Sobie, Sobie!

Ukor.

Tu spoczniemy, bo noc już słońce zdmuchnęła. Rozpalcie ogniska, przygotujcie jadło i ofiary. Upieczcie kilku najbardziej znużonych jeńców. Bogowie i duchy, którzy nam dopomogli do zwycięstwa, zapewne niecierpliwią się, że dotąd nie uraczyliśmy ich przyjemnymi wyziewami, choć sami nawąchaliśmy się krwi do syta. Ustawcie przede mną kobiety, nasze i cudze.

Wojownicy rozesłali po ziemi maty i rozpięli na nich namiot, zdziergany z liści palmowych. Ukor siadł i przeglądał przeprowadzane przed nim kobiety.

Ukor.

Ta dziś dla mnie.

Alrun.

Ja ją zdobyłem.

Ukor.

Co rzekłeś? Ręka moja chce mi odebrać łup, który ujęła? Przecież wy wszyscy jesteście członkami moimi, a ty—moją ręką.

Alrun.

Przywiodłem ją dla siebie. Ty dogoń Orlę, którą wybrałeś. Ładniejsza.

Ukor.

Milcz, bo cię odłamię sobie, jak paznokieć! Usiądź tu dziewczyno i zakryj twarz, ażeby prócz mnie nikt jej odtąd nie widział. Jak cię zwali?

Dziewczyna.

Jak się komu podobało: Sroką, Myszą, Pchłą...

Ukor.

To znaczy, że jesteś krzykliwa, szkodna i przyczepna.

Dziewczyna.

Potrafię być miła.

Alrun.

Wstań i chodź ze mną!

Zmik.

Alrunie, ustąp wodzowi. W nim bogowie osadzili największą siłę, więc trzeba mu oddać najlepszą zdobycz.

Odciągnął Alruna na stronę.

deputowanych p. Banffy zaręczył, że trzymać się będzie jak najściślej kierunku narodowo-węgierskiego i ugody z roku 1867 (z Austryą); prawa kościelno-polityczne wykona, przewyżkę budżetową da zagrożonemu rolnictwu. Do kogo przyszłość należy—to przyszłość sama powie; teraźniejszość należy do stronnictwa liberalnego. Korona pragnie wyrównania poglądów; zaufanie między tronem a narodem jest konstytucyjną podstawą rozwoju. W Izbie magnatów Banffy uwydatnił swoją dbałość o uspokojenie umysłów i względność w stosowaniu praw kościelno-politycznych.

W Prusiech sejm zebrał się d. 15 b. m. Mowa tronowa ukazała niepomyślny stan skarbowości, wskutek zmiany w gospodarstwie skarbowem cesarstwa. W latach 1895 i 6 zbraknie 31 mil. marek. Wprowadzone będą nowe prawa synodalne ewangelickie, nowa opłata stemplowa, nowe szkoły zawodowe; zbudowane nowe koleje; rolnictwo wzięte pod opiekę itd. W kilka dni po otwarciu Richter wytoczył sprawę wyrzucania ministrów pruskich przez „czarnego człowieka." Lecanusa. Dnia 22 b. m. Bachem w imieniu centrum odmówił podatków, gotów dać tylko pomoc rolnictwu; przypomniał obietnicę nowej ustawy wyborczej dla sejmu i zażądał ustępstw dla katolików. Tego samego dnia kanclerz Hohenlohe, jako prezes ministrów pruskich, zbijał twierdzenia Richtera — i był po raz pierwszy zajmującym. Śmiała się Izba, gdy opowiadał anegdotki ze swej praktyki dyplomatycznej o fałszywych pogłoskach. Dobre i to.

Sejm cesarstwa niemieckiego uchwalił w drugiem czytaniu projekt prawa, przywołującego jezuitów z wygnania: trzecie czytanie zależeć będzie od postawy centrum nad „Umsturzvorlagą," a los ostateczny projektu — od Rady związkowej, która go już ze trzy razy grzebała. W komisyi 28-miu, radzącej nad ustawą przeciw anarchistom, praca idzie powolnie. Na wniosek Spahna z centrum kazano rządowi złożyć przepisy, obowiązujące w innych państwach.

Teraz dopiero komisya sejmu cesarstwa obrała napis dla nowego przybytku sejmowego: „Dem deutschen Reiche," zamiast pierwotnego „Dem deutschen Volke," któremu oparł się cesarz Wilhelm.

BADANIA NAUKOWE.

O SŁUCHU BARWNYM.

Kwestya słuchu „barwnego" od dawna zajmuje umysły niektórych badaczów. Jak dotychczas nie wyszła ona po za ramki szczupłych broszurek, chociaż zasługuje na równi z innemi zagadnieniami psychologicznemi na traktowanie poważniejsze.

Na czem zależy „słuch barwny"?

Już Zaks z Erlangenu (1812), za nim bracia Nussbaumowie z Wiednia (1873), Claparede, Jules Millet, A. Unet i inni zauważyli, że niektórzy ludzie, słysząc dźwięki, odczuwają współcześnie wyobrażenia barwne, których natura zależy od jakości dźwięków, a także od indywidualności osobnika, odczuwającego je. Zjawisko to rodzi przeważnie mowa ludzka, najczęściej tony, odpowiadające samogłoskom: spółgłoski wywołują barwy niejasne, jakby zamglone, lub nie sprowadzają ich wcale. Należy dodać, że mowa oddziała w tym zakresie wtedy, gdy będzie donośną; szept nie pociąga za sobą żadnych barwnych percepcyj. Na charakter kolorów odczuwanych wpływa także wysokość i jakość głosu: wysokim rejestrom towarzyszą zwykle barwy żywe, jasne—niższym, jak baryton lub bas, ciemniejsze.

Nie należy mniemać, aby przy wymawianiu pojedynczej samogłoski lub wyrazu, osoby, obdarzone słuchem barwnym, widziały jakiś kolor zupełnie tak, jak widzą go, spoglądając na przedmiot zabarwiony. Byłoby to coś w rodzaju halucynacyi, której w każdym razie przypuszczać tu nie należy. Przeciwnie, przy wymawianiu np. samogłoski *a* osoba, obdarzona słuchem barwnym, stwierdza, że w umyśle jej powstaje idea koloru czarnego. Jest to coś w tym rodzaju, jak np. pojęcie o kolorze czarnym, jakie posiadamy w chwili, gdy ktoś opowiada nam o czarnej sukni, nie pokazując nam jej wcale. Będzie to więc właściwie wyobrażenie. Dane statystyczne z badań, przeprowadzonych w sprawie słuchu barwnego, wykazują, że najczęściej samogłosce *a* towarzyszy wyobrażenie koloru czarnego, samogłosce *e*—żółtego, *i*—białego, *o*—czerwonego, a *u*—zielonego. (J. Millet). Claparede w 100 wypadkach znalazł, że *a* jest czarne, *e*—błękitne, *i*—czerwone, *o*—żółte, *u*—zielone. Samogłoski powyższe dają w umyśle osób, obdarzonych słuchem barwnym, idee zupełnie jasnych i czystych kolorów, a wyrazy, w których te litery się znajdują, zabarwione są mniej lub więcej jak samogłoska, najdobitniej w nich wymawiana. Tak np. jedna młoda akwarelistka, obdarzona słuchem barwnym, słysząc wyraz „Paris," kojarzyła go z jasnym purpurowym kolorem, na tej zasadzie, że *a* dla niej było białe, *i* purpurowe. Widzimy tu, że barwy, powstające ostatecznie jedna za drugą, zmieszały się z sobą, czego nie należałoby mniemać, wiedząc przecież, że głoska „Pa" (biała) wymawia się w wyrazie „Paris" przed „ris" (czerwona) Jeżeli we wrażeniach, wywołanych przez wymówienie zgłosek wyrazu „Paris" istnieje różnica w czasie, to jakim sposobem mogło nastąpić zmieszanie się w jedną barw skojarzonych z temi zgłoskami? Jeżeli akwarelistka posiadała rzeczywiście słuch barwny, to w każdym razie powstanie owej mieszaniny w jej umyśle prawdopodobnie można tłomaczyć, jako wyrobione raczej drogą autosuggestyi, opartej na znajomości rezultatów mieszania barw. Ta sama akwarelistka dzieliła wyrazy na prawidłowe i nieprawidłowe, stosownie do tego, czy dany rzeczownik lub przymiotnik wymówiony—kojarzył się z pojęciem koloru, odpowiadającego rzeczywiście przedmiotowi lub własności, którą oznaczał. Tak np. wzorem wyrazów nieprawidłowych były dla niej: *feu* lub *rouge*, gdyż nie zawierały samogłoski *i*, której towarzyszy pojęcie koloru purpurowego. Chcąc zatem zbudować prawidłowe wyrazy dla oznaczenia *feu* lub *rouge* należało stworzyć je tak, aby w nich było *i* dobitnie wymawiane. Dla innych znowu szczytem prawidłowości był wyraz *ecarlate*, bo zawierał aż dwa *a*, które się kojarzyły zawsze w ich umyśle z ideą barwy szkarłatnej.

Jednakże nie tylko ludzka mowa wywołuje u niektórych ludzi idee barw. Tę samą własność posiadają, nawet w wyższym stopniu czasami, dźwięki pewnych instrumentów. Tak np. tonom organów

---

Przecież on jej nie zje i tobie calą zostawi. Zresztą o co się pienisz? O marną dziewkę, których masz stado? Jesteś tak głupi, jak gdybyś nie był najwaleczniejszy w gromadzie. Chcąc coś zrobić, nie trzeba zaczynać od końca. Zostań wodzem, a będziesz tak przemawiał do niego, jak on do ciebie.

Alrun.

Dawno mi się to należy. Czy mało jeszcze ludzi zabiłem i krwi przelałem? Mógłbym go w niej wykąpać.

Zmik.

Wykąp go w jego własnej.

Alrun.

Tego doczeka, że go kopnę i roztrącę, jak grzyb spróchniały. Padlina! Dlatego, że kiedyś był mężny, dziś chce jeść stu gębami i podgarniać pod siebie najlepsze łupy. Niech rozkazuje tym, którzy przed nim jeszcze drżeć umieją! Ale ja nie giętki pręt, a on dla mnie nie wicher!

Zmik.

Tak jest, dzielny Alrunie, tak ja myślę, tak nawet bogowie sądzą, którym ofiar uszczuplił. Ale musisz wziąć się do niego ostrożnie.

Alrun.

To ty strzyż uszami, wsuwaj pazury i czołgaj się na brzuchu, ja tego nie potrzebuję.

Zmik.

Jak chcesz.

Alrun.

Złość we mnie drzemała, dopóki swoich zdechłych ślepi nie zwrócił na Orlę, którą postanowił dla siebie wyłącznie zatrzymać. Jeśli kobiety nie mają być własnością całej gromady, to ona powinna być własnością moją, bo mi się podobała, bo na nią zasłużyłem, bo do niej nikogo nie dopuszczę, gdyby najpotężniejszy z bogów jej zażądał a wszyscy dyabli po nią przylecieli. Czy myślisz, że ta dziewka, którą mi odebrał, więcej dla mnie warta, niż kostropata kłoda, o którą można swędzące plecy podrapać? Ale ja ją złowiłem, a Ukor sobie przywłaszczył, ażeby mnie przekonać, że jestem tylko jego ręką. No, schyli on się przed tą swoją ręką.

Zmik.

Skoro postanowiłeś go przystrzydz, to ci powiem, że on również zamierza cię zgładzić; słyszałem, jak dziś rano rzekł do swojego przybocznika: trzeba Alruna skrócić o głowę, bo nad was wyrósł.

Alrun.

Dobrze, więc jutrzejszy poranek tylko jednego z nas zobaczy.

Uderzył toporem przechodzącego człowieka.

Człowiek I.

Czego chcesz ode mnie?

Alrun.

Bogowie cię wołają — nie słyszysz?

Uderzył go po raz drugi. Raniony padł.

Człowiek I.

Ratujcie!

Głosy przybyłych.

Czemu go zabiłeś?

Alrun.

Nie wystarczyłoby dla niego jedzenia i kobiet, bo Ukor wziął za wiele.

Głosy.

Nieprawda! Mamy dosyć

Alrun.

A skąd wiecie, ile ja potrzebuję?

Głosy.

Ile ci dadzą!

Alrun.

Kto mi nie da swojego?

Człowiek II.

Ja.

Alrun.

No spróbuj obronić własny łeb!

Rzucili się do walki na włócznie, w której Alrun po krótkiem starciu przebił przeciwnika.

Alrun.

Mam już części po dwu.

Głosy.

Gwałtu! Na pomoc! On oszalał i wszystkich nas pomorduje! Ukorze! Ukorze!

Ukor.

Co tu się dzieje?

odpowiada u niektórych idea barwy czarnej; arfy—wyobrażenie białej; tonom fletu — żółtej; instrumentów blaszanych dętych—pojęcie silnie czerwonej (R. Ghil). Pewna dama zaszła tak daleko, że każdemu kompozytorowi muzycznemu nadawała inną barwę. Utwory Haydna były dla niej nieprzyjemnie zielone, Mozarta—błękitne, Chopina—żółte, a Wagnera przedstawiały jej się w postaci jasnej sfery, stopniowo ciemniejącej. Taka tedy jest w zarysie strona faktyczna omawianej przez nas kwestyi.

Co może być przyczyną słuchu barwnego i jak należy patrzeć na to zjawisko z punktu psychologii dzisiejszej?

Za główną i jedyną jego przyczynę Fechner uważa przenoszenie na głoski koloru z wyrazów, oznaczających mniej lub więcej barwne przedmioty. Samogłosce *e* odpowiadać tedy będzie idea barwy czerwonej, ponieważ *e* jest najdobitniejszą samogłoską, którą słyszymy w wyrazie „czerwien." Tak samo *a* będzie szkarłatne, ponieważ wyraz „écarlate" zawiera aż dwa *a*. Przyjemne zaś i żywe wrażenia barw otrzymamy od tych głosek, które przeważają w wymawianiu wyrazów, oznaczających przyjemną czynność lub stan, przymiot, i odwrotnie. Dźwięk „ou" może wywołać ideę jakiejś niemiłej barwy, ponieważ znajduje się w wyrazie *bouder* (dąsać się), co zwykle nasuwa wrażenie ujemne.

Gra na organach dla tego rodzi ideę barwy czarnej, że towarzyszy smutnym religijnym ceremoniom, w których kolor czarny przeważa. Biały zaś, w umyśle osobniku, słuchającego gry na arfie, może powstać wskutek skojarzenia z grą aniołów, którzy w ogólnie znanych podaniach występują często, jako grający na arfie młodzieńcy w szatach białych, powłóczystych.

Nadzwyczaj ważną rolę jako pierwiastek etyologiczny w powstawaniu słuchu barwnego mogą odgrywać kolorowane elementarze. Ucząc się abecadła, dziecko spogląda na obrazki, pomieszczone przy głoskach dla ułatwienia zapamiętania litery. Może tam przeważać jeden jakiś kolor, lub też silniej podziałać na narząd i ośrodek wzroku, tak, że gdy dziecko wymówi literę, którą ilustruje stojący przy niej obrazek, w mózgu jego natychmiast powstanie idea owej barwy. Z czasem ślady powyższych wrażeń w mózgu nie zacierają się, i gdy dziecko dojdzie do wieku, w którym zacznie badać swoje objawy duchowe, ze zdziwieniem spostrzeże, iż posiada własność kojarzenia pojęć barw z dźwiękami. Będą to zawsze pojęcia, właściwiej wyobrażenia, nie zaś faktycznie istniejące kolory, takie jakie widzimy, patrząc na przedmioty zabarwione.

W tym ostatnim wypadku zachodzi w mózgu stan, odpowiadający działaniu na wzrok falowania eteru o określonej ilości fal w jednostce czasu. Powyższy stan nazywam wrażeniem barwy, jaką w danej chwili widzę. Jeżeli zaś nie dostrzegam żadnej, mogę wywołać w mym mózgu stan analogiczny, a wtedy będę miał wyobrażenie koloru, bez działania odpowiedniej podniety barwnej. Każdy z nas posiada zdolność wywoływania w sobie takiego stanu, wedle żądania. Pamiętamy doskonale barwy przedmiotów, a widziany obraz możemy sobie w każdej chwili przypomnieć nie tylko ze względu na treść jego, ale i na koloryt. Idzie więc tylko o to, ażeby w mózgu naszym mógł powstać podobny stan. Zrodzić się on może tylko wtedy, gdy ośrodek narządu wzrokowego (*gyr. angularis*) wejdzie w stan działania. Jeżeli zaś przypuścimy, że ośrodek ten za pomocą włókien asocyacyjnych w mózgu jest połączony z ośrodkiem słuchu (*gyr. temporalis sup.*) — co stanowczo twierdzić można—to „proces nerwowy" z ośrodka słuchu po włóknie asocyacyjnem łatwo przejdzie do ośrodka wzroku i wywoła tam ideę barwy. Nie ulega wątpliwości, iż tak jest. Możnaby jednak zapytać, czemu nie u każdego istnieje słuch barwny? Przecież każdy posiada owe włókna asocyacyjne, łączące dwa powyższe ośrodki. Wiemy o tem, że z dwóch wrażeń to wylania się ponad poziom świadomości, które jest silniejsze, i aby ono stało się świadomem, musi posiadać pewną siłę. Przy względnie mocnych podnietach, działających na obwodowy narząd słuchu, przy silnych wrażeniach dźwiękowych, inne słabsze giną, toną w nieświadomości; jeżeli zaś wrażenie słuchowe będzie bardzo znaczne, proces w ośrodku dojdzie do dużego natężenia, to zresztą wywoła on także i podrażnienie ośrodka wzrokowego—wtórne wyobrażenie barwy. Zjawiska takie znane są psychofizyologom jako częste; noszą one nazwę *fotyzmów*. Każde więc *silne* wrażenie słuchu wywoła wtórne wzrokowe. Tu może ktoś bardzo słusznie zaznaczyć, że przecież samogłoski, wymawiane przez człowieka, nie są znowu tak silną podnietą, aby aż mogły wywołać zjawisko fotyzmu. Tak, ale „natężenie" to pojęcie względne. Jeżeli posiadam bardzo wyćwiczony lub z natury czuły ośrodek wzroku, to już słaby względnie proces nerwowy wywoła w mym mózgu ideę barwy. Przecież największą liczbę osób, obdarzonych słuchem barwnym, stanowią malarze, co należy mieć na uwadze. To są ludzie, którzy ciągle żyją w świecie kolorów. Narządy obwodowe wzroku, ośrodki wzrokowe są u nich tak wyćwiczone, że spostrzegą oni różnice w zabarwieniu, sile lub jakości jego, jakich nikt inny nie dojrzy. Cóż więc dziwnego, że przy takiej ruchliwości cząsteczek ośrodka wzroku, najlżejsza podnieta, nawet nieznaczny prąd nerwowy, płynący po włóknie asocyacyjnem od ośrodka słuchu, wywoła we wzrokowym proces, który świadomość nasza przyjmie jako stan identyczny ze stanem ośrodka przy działaniu na oko podniety barwnej? Tu należy przypuścić nie tylko nadzwyczajną czułość ośrodka wzroku, wielką ruchliwość cząsteczek jego, ale także pewien stan włókien asocyacyjnych, ułatwiający prądowi nerwowemu przejście wrażeń od ośrodka słuchów do wzroku. Jeżeli zwykle włókno nerwowe stawia pewien opór prądowi, płynącemu po niem, to w tym razie należy go uważać za bardzo mały, może równy zeru. W przeciwnym bowiem razie nawet nadczułość ośrodka wzrokowego przy bardzo utrudnionej komunikacyi z innemi, skutkiem niedrożności włókien, łączących je, nie dałaby żadnego wyobrażenia wzrokowego.

Biorąc tedy pod uwagę to, co zaznaczyliśmy powyżej, możemy twierdzić, że te osoby będą posiadały słuch „barwny," u których zarówno ośrodek wzroku, jak i włókna asocyacyjne, łączące go z ośrodkiem słuchu, są nadzwyczaj pobudliwe.

Spojrzawszy teraz na sprawę słuchu barwnego z punktu widzenia medycyny, możemy zapytać, czy pod względem czynności psychicznych osoby, obdarzone słuchem barwnym, uważać trzeba za normalne, czy nie? W każdym razie zjawiska, obecnie przez nas rozpatrywane, muszą być nieprzystępne dla normalnych ustrojów duchowych. Owa nadpobudliwość ośrodka

---

Głosy.

Alrun zabił dwu ludzi. Powiada, że za wiele zabrałeś łupów i dla niego nic nie zostawiłeś.

Ukor.

Skoro nie ma co jeść, niech zginie.

Alrun.

Słusznie, więc zabierz mi życie. Oddam je chętnie, ale tylko tobie, czcigodny wodzu. No, śpiesz się!

Ukor zamierzył się maczugą, Alrun odbił ją i jednem uderzeniem roztrzaskał mu głowę. Obecni pierzchli w popłochu na wszystkie strony, oprócz kilku, których strach do miejsca przykuł.

Alrun.

Nie chciał wziąć mojego życia i jeszcze mi swoje podarował. Poczciwiec! Może który z was go pomści? Nie uciekajcie, zuchy! Nazad, tu! Wynieście go i sprawcie mu uroczysty pogrzeb. Ponieważ był stary i mógłby zmylić drogę do raju, więc zakopcie z nim razem głowę psa.

Zmik

Na moją prośbę bogowie cię wsparli.

Alrun.

Nie widziałem ich.

Zmik.

Ale ja ich czułem w sobie.

Alrun.

Gdzież oni wszyscy w tobie się zmieszczą?

Zmik.

Szydzisz, Alrunie, z nich i ze mnie? Jeżeli bez nas obejść się możesz...

Alrun.

Nie martw się: ani o nich, ani o tobie nie zapomnę. Z każdego jabłka, które zjem, dostaniesz co najmniej ogryzek. Ale módl się do bogów, ażeby mi we wszystkiem pomagali, bo inaczej... A widziałeś, jak moja ręka gromi, gdy ją gniew poruszy?.. Hoj, sprzątnąć te trupy, zanim je słońce robakami nadzieje. A potem tańczcie i śpiewajcie.

Ludzie wynieśli ciała trzech zabitych.

Głosy.

Niech żyje wódz nasz, wielki Alrun!

Zbliżył się kornie do Alruna Itam, młody jeniec.

Itam.

Przyjmij ode mnie, niezwyciężony mężu, te fetysze; w każdym z nich siedzi potężny duch, który ci będzie użyczał swej mocy.

Alrun.

Aż tyle!.. Same wióry...

Itam.

Ale skuteczne! Wszystkie o pięty Zmika pocierane.

Alrun.

Dlaczegóż o pięty?

Itam.

Bo one są w tym świątobliwym mężu najodważniejsze. Gdy on z pola bitwy ucieka, bojaźliwe palce mkną naprzód a nieustraszone pięty ciągle zwrócone są śmiało ku nieprzyjacielowi.

Alrun.

Widzę, że wesoły filut z ciebie. Przydasz się nieraz.

Zmik.

Chcesz zachować życie podłemu brańcowi za to, że kapłana gromady wyśmiewa?

Alrun.

To nie bądź śmiesznym.

Nadeszła dziewczyna, która siedziała w namiocie Ukora.

Dziewczyna.

Czy mam być służebnicą twoją?

Alrun.

Odkryj twarz — jam nie zazdrosny. Mogą wszyscy na ciebie patrzeć, a każdy sobie zabrać — niech tylko mi da lepszą. Niech da Orla! Słuchajcie, kto ją przyprowadzi, okarmię go, opoję, obdarzę kosztownościami, będzie moim przyjacielem, może odkąsić mi przy ustach najsmaczniejszy kawałek mięsa, może w moich włosach rozgrzewać zziębnięte nogi. Dam mu i zrobię więcej, niż zapragnie. Ach, ten worek grzechów, który djabeł zgubił, ten Arjos, gdybym tylko raz mógł go w swoich dłoniach ścisnąć!

Zmik.

Bogów ubłagam, ażeby ci go dostawili.

wzroku i zbyteczna drożność włókien asocyacyjnych nie może być uważana jako zupełnie prawidłowa. Jednak z drugiej strony nie jest to nic takiego, co pozwalałoby przypuszczać istnienie jakiejś większej wady czynnościowej lub organicznej. Słuch barwny może być tylko bardzo łatwo przyczyną halucynacyj wzrokowych wtedy, gdy istnieją już słuchowe. Przy rozpatrywaniu więc pierwszych, występujących w postaci widziadeł barwnych tam, gdzie współcześnie dowiedzionem jest istnienie drugich, należy zbadać, o ile pierwsze nie są następstwem ostatnich, o ile, z powodu istnienia u osobnika słuchu barwnego, nie znajdują się one w przyczynowym związku z halucynacyami słuchowemi.

Kazimierz Rzętkowski.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

Mały rozwój studyów nad szamaństwem pierwotnem.—Szamani mogli drogą empiryczną dojść do posiadania wielu praktyk duchowych.—Praca Hoffmana.—Różne kategorye szamanów.—Różnica jest natury psychologicznej.—Wnioski.

Socyologia pokonała mnóstwo trudności: zerwała ze starymi dogmatami filozoficznymi, które podrywały jej istnienie w samym rdzeniu, bo zaprzeczały przyczynowości we wzajemnem powiązaniu zjawisk społecznych; poradziła sobie z przesądami, twierdzącymi, że po za obrębem naszej cywilizacyi istnieją wszędzie tylko bezrząd i swawola, otrząsnęła się nawet z tak głęboko zakorzenionych wierzeń, że dzisiejsza forma własności stanowiła od początku podwalinę życia gromadzkiego. Temu powszechnemu postępowi nie uległa pewna dziedzina stosunków w rozwoju kulturalnym ludzkości—pierwotnego kapłaństwa. Niepodobna powiedzieć, ażeby spoczywała ona odłogiem zupełnym. Nie! Możemy wskazać nawet parę dzieł, poświęconych temu przedmiotowi. Spencer podjął go w swoim systemie filozofii syntetycznej, poświęcając mu tom cały, ale niestety, poglądy jego są nawskroś, już nie powiem opaczne, lecz powierzchowne, przedewszystkiem zaś zaprzątają się rozwojem samej instytucyi oraz hierarchii kapłańskiej i żadnego światła nie rzucają na psychologię pierwotnych kapłanów. Lippert swoje studya nad tym przedmiotem zawarł aż w dwóch tomach i również nie rozwiązał i nawet nie dotknął zasadniczego zagadnienia; badaczowi niemieckiemu także szło tylko o hierarchię kapłanów, lecz nie o wejrzenie w ich duchowość. W nauce pozostały jeszcze całkowicie poglądy wojującego liberalizmu, który utrzymywał, że wszystkie wierzenia są wynalazkiem szarlatanów, ceremonie zaś — zwykłem kuglarstwem. Co do pierwszych, tj. pojęć i wierzeń, zgodzono się wreszcie, że stanowią one płód konieczny i naturalny umysłu ludzkiego, przystępującego dopiero do odcyfrowania olbrzymiej księgi, którą nazywamy przyrodą. Tem samem oczyszczono poniekąd przedstawicieli rodzącego się kapłaństwa od zarzutu, że świadomie kłamali. Ale zrobiono to tylko częściowo. Bo co do obrzędów szamańskich, zaklęć, środków leczenia, proroctw, pozostało w całej mocy dawne uprzedzenie. Szaman—to oszust, który świadomie okełgiwa swoich współrodaków na każdym kroku: kłamie mową, kiedy udaje, iż jest w natchnieniu proroczem, kłamie czynem, gdy pielęgnuje chorego lub rzuca się w opętaniu fałszowanem.

Kto jednak, nie bacząc na to aprioryrystyczne rozstrzygnięcie kwestyi, weźmie się do poszukiwań źródłowych i zacznie troskliwie a drobiazgowo notować każdy szczegół z życia szamanów i zapisywać szczupłe wzmianki, tu i owdzie spotykające się o dziedziczności psychologicznej w rodzie czarodziejów, kto będzie przypatrywał się ich fizyognomii, nie gardząc fakcikiem, chociażby wyglądały one blado, ten zostanie odrazu uderzony kilku rysami, które przedstawiają tę postać życia pierwotnego w świetle osobliwem. To cała kopalnia anomalij psychologicznych, kopalnia zaiste pouczająca i ciekawa! Szaman, będący z urodzenia naturą „psychiatryczną,“ zanim rozpocznie swoją praktykę, uprzednio usuwa się, niekiedy na całe lata, ze społeczeństwa, z którem zrywa wszelkie stosunki, żyjąc w odludnem ustroniu, uprawia krańcową wstrzemięźliwość płciową, pości i jednocześnie drażni swoje ciało narkotykami, ćwiczy swojego ducha w zadumie i prawdopodobnie w samohypnozie, a zarazem zaprawia się do swej roli. Pod tym względem posiadamy fakty bardzo wymowne, które dowodzą, że czynności naszego organizmu, odbywające się niezależnie od naszej woli, mogą być poddane tresurze i odpowiednio, że tak powiem, wyszkolone. Szaman może dowolnie wywoływać na swojem ciele tak zwaną „gęsią skórkę,“ prostym aktem swojej woli podnosić liczbę uderzeń pulsu lub ją zmniejszać. Niekiedy nowicyat, trwający przez długi przeciąg czasu, polega na takiem stopniowem opanowywaniu przez wolę wielu czynności: pustelnik przyucza się oddychać jednem tylko, lub drugiem nozdrzem, to kolejno obydwoma, łykać powietrze w długich lub krótkich przerwach. Wzięliśmy parę przykładów, ilość ich moglibyśmy pomnożyć znacznie. Jestem wprost przeświadczony, że jako psychologowie-praktycy, te postacie pół-obłąkane, pół-rozklekotane nerwowo posiadają większy zasób wiedzy empirycznej, aniżeli ten, jakim rozporządza nauka tegoczesna. Niepodobna zaprzeczyć, że wraz z rozwojem filozofii nowożytnej, usiłującej przełożyć ducha na język materyi i życie psychiczne rozpatrywać jako szczególny ruch drobinek tej ostatniej, zaniedbano niektóre objawy duchowe i nawet niedowierzano im (jak to widzimy np. w somnambulizmie i innych). Tymczasem tam, w dzikiej a fanatycznej samotni, na podkładzie mistycznego pojmowania przyrody, władze ducha bywają ćwiczone systematycznie, stany nienormalne doprowadzone do ostateczności, z uszczerbkiem dla zdrowia ciała i nawet umysłu. Powszechnie podają, że szamani na starość tracą wzrok; doktor medycyny, etnograf J. G. Bourke, czyni uwagę, że przyczyną ślepoty jest nieustające podniecenie nerwowe, odzywające się jak najfatalniej na całym organizmie. Hypnotyzm, któremu nauka dopiero niedawno udzieliła dyplomu prawowitości, tak mało zbadane stany tak zwanej cerebracyi nieświadomej, różne objawy panowania woli nad funkcyami organizmu, posiadającemi siedlisko swoje w systemie nerwów sympatycznych, wszystkie te tak podejrzane ćwiczenia bywają tam rozwijane i na szeroką skalę praktykowane. Nawet wśród najniższego szczepu, australczyków, spotykamy się z usypianiem hypnotycznem. W Indyach włóczęgi niekiedy uwodzą dzieci angielskie: widocznie hypnotyzują je i poddają im rozkaz, ażeby okradały rodziców. Dzieciak, pozbawiony swojej

---

Alrun.

Ciągle rozporządzasz bogami, jak swoimi palcami, a pomimo to jesteś goły, jak oko. Gdyby oni ciebie słuchali, królowałbyś nad nami a nie był kogutem obozowym, który pieje przed pogodą na deszcz, a przed deszczem na pogodę.

Zmik.

Ja jestem kapłanem, Alrunie, i z pewnością więcej usług oddałem gromadzie swoimi modłami, niż ty swoim oszczepem. Ale jeżeli sądzisz, że dla ciebie jestem bezużyteczny. .

Alrun.

Nie wiem, do pioruna, nie wiem, bo tylko obiecujesz! Powiedz mi, gdzie jest Orla, a uwierzę, że ziemia jest dla ciebie przezroczysta, jak kryniczna woda, a skały i drzewa — jak najrzadsze obłoczki.

Zmik.

Dla mnie przejrzyste jest tylko niebo, w którem widzę bogów.

Alrun.

No to ich zapytaj, uproś, złóż im najwyśmienitsze ofiary.

Zmik.

Spróbuję złagodzić ich słuszny gniew na ciebie. Wolno mi wybrać dla nich wszelkie dary?

Alrun.

Jakich zażądają.

Zmik.

Pójdę w ustronie i stamtąd poślę do nich twoją prośbę.

Odszedł. Alrun spojrzał wzgardliwie na dziewczynę i zawołał do obecnych.

Alrun.

Jadła dla dwojga, dla czworga — dla mnie i tej branki! Gdybyś ty była podobna chociaż do cienia Orli! Wydarłem cię Ukorowi, zabiłem go, bo taka była moja wola, ale nie łaknę takiej, jak ty, wiązki chudych gnatów, za którą by się nawet głodny wilk nie obejrzał. Piersi masz jak puste sakiewki, nogi jak trzcinki, skórę jak omszoną korę — idź precz, wiedźmo!.. Nie odchodź, dopóki cię nie odtrącę! Nie drżyj, boś jeszcze brzydsza! Pofarbuj się na czerwono, ażebyś nie była tak sina. Dajcie wina kokosowego! A ty za mną!

Siadł w namiocie Ukora.

Ukor usłał mi niezłe gniazdo. Poznałaś już mężczyznę?

Dziewczyna.

Nie.

Alrun.

Więc żaden cię nie zapragnął, a ja mam cię chcieć? Niech tam który nad tą nędzą się ulituje! Albo — nie! Zostań. Na jeden dzień wystarczysz, a potem każę cię zakopać z Ukorem, ażebyś mu pobyt w raju uprzyjemniała.

Dziewczyna.

Dziękuję ci, z radością umrę.

Alrun.

Czemu wszyscy nie bawią się, nie ucztują! Duchy zapaliły już na niebie swoje nocne ogniska, a wy jeszcze zwlekacie?

Powrócił Zmik blady, wzruszony, z rozwianymi włosami.

Zmik.

Bogowie odpowiedzieli mi, że Arjos i Orla uciekają szybko, jak dwa gołębie, ale ich doścignie, jak jastrząb, człowiek głodny.

Alrun.

Głodny — mówisz? Ogłodzę całą gromadę! Prędko rozniecajcie ognie i zjedzcie dziś wszystko! Co mam za to ofiarować bogom?

Zmik.

Co najpiękniej pachnie i najmocniej błyszczy.

Alrun.

Zabierz sam. Nic mi nie błyszczy i nie pachnie tak, jak Orla.

Alrun i Zmik oddalili się do miejsca, gdzie leżały łupy i zapasy żywności.

(D. c. n.)

woli, wyciąga z domu, co tylko zdoła, i niesie swemu duchowemu władcy. Naturalnie, przypisuje się to oczom urocznym i oczarowaniu. Sądzę, że studya systematyczne nad temi osobami, wykolejonemi z normalnego życia duchowego, bezwarunkowo naprowadziłyby naszych psychologów na niejedno wdzięczne zagadnienie. Zresztą wskazówki to zwykle szczupłe. Szaman bynajmniej nie należy do gadułów, lubiących paplać o sobie. Przy obecnem zetknięciu się naszej kultury z pierwotną jest to postać zachęcająca rodaków do oporu i kryjąca troskliwie przed nieproszonymi najezdnikami zarówno swoje praktyki i umiejętność, jako też wierzenia, których jest piastunem. To też praca W. J. Hoffmana o „Wielkiem towarzystwie szamańskiem u odżybujów“ *) stanowi nader cenny przyczynek do naszej znajomości psychologii pierwotnego kapłaństwa. Uczony ten jest na utrzymaniu fundacyi smithsonowskiej i idąc za wzorem Morgana, żyje wśród plemion czerwonoskórych, celem poznania ich zwyczajów. Udało mu się dotrzeć do tajnych związków, uprawiających okultyzm i zebrać mnóstwo materyału. Ogłosił swoje spostrzeżenia w rocznikach waszyngtonskiego biura etnograficznego, monografia zaś jego, lubo dotycze jednego tylko plemionka, rzuca światło poważniejsze na to zaniedbane pole życia społecznego, aniżeli olbrzymie prace Spencera i Lipperta.

Przedewszystkiem po raz pierwszy z całą wyrazistością dowiadujemy się, że istnieją bardzo odmienne kategorye szamanów, prócz których są jeszcze tak zwani znachorzy, będący znawcami roślin, korzonków i płodów i zajmujący się leczeniem. Są to nasi lekarze w stanie zaczątkowym, nieokrzesani, ale nie należą oni jeszcze do szamanów i nie przedstawiają wybujałości tresury duchowej. Po za tymi znachorami istnieją u odżybujów aż trzy kategorye czarodziejów. Hoffmanowi udało się nawet określić, w jakim stosunku ilościowym znajdują się te różne grupy. Plemię owo zawiera do półtora tysiąca członków, z tej liczby w związku szamańskim midów znajduje się około stu plemieńców. Jest to w gruncie rzeczy towarzystwo okultystyczne. Prócz tego w plemieniu mamy pięciu jessakajdów i dwóch wabenów. Najciekawszym z całego opisu jest nacisk, z jakim wspomniany etnograf podnosi tę okoliczność, że nie każdy może zostać szamanem tej lub innej z pośród dwu ostatnich kategoryj, nie zależy to bowiem od dobrej woli, ale trzeba na świat przyjść już z pewnemi szczególnemi właściwościami. Pierwszej podniety zwykle dostarczają sny: jeśli one bywają wciąż pewnego określonego rodzaju, naówczas młodzieniec zostaje wciągnięty odpowiednio do tej lub innej kategoryi, która sama poszukuje takich pomazańców na swoich następców. Powrót snów tej samej lub pokrewnej treści stanowi więc dla szamanów pewną wskazówkę, świadczy niejako o istnieniu pewnych uzdolnień fizyologicznych, które wywołują stosowne stany duchowe podczas bezwładności sennej. Wabenowie są, jak wyraża się Hoffman, *fire-dealers*, tj. czarodziejami od ognia. Główna właściwość ich zasadza się na bezkarnem pogrążeniu ręki w ukrop, lub na trzymaniu rozpalonych do czerwoności kamieni. Jak wiadomo, próby, czynione w Europie, dowiodły, że jeśli ręka jest czysta, to bez niebezpieczeństwa może pogrążać się na chwilę w płynną masę żelaza. Fakty więc i właściwości, przypisywane tej kategoryi szamanów, nie są niemożliwością, idzie tylko o długość podobnego doświadczenia. Niestety, Hoffman pod tym względem nie dostarcza wskazówek, co najwyżej wolno mniemać, że pewne osoby mogą przedłużyć próbę ogniową po za granice, właściwe organizmowi normalnemu. Jessakajdy znowu spełniają czynności prorockie i jasnowidząca. Z niektórych szczegółów godzi się dorozumiewać, że umiejętność wpadania w stan somnambuliczny doprowadzili oni do wysokiej doskonałości, że w tem uśpieniu następuje u nich wyładowanie cerebracyi nieświadomej z właściwemi temu stanowi podniecenia objawami. Warto zaznaczyć, że szamanom tej kategoryi czerwonoskórzy przypisują mnóstwo uzdolnień, któremi nasi spirytyści obdarzają swoich cudotwórców: związany postronkami, jessakajd w oka mgnieniu strząsa z siebie więzy; kiedy skrępowany zostanie ukryty w namiocie, to szałas zaczyna się chwiać, z niego zaś wychodzą różne dźwięki. Wreszcie organizacya trzeciej kategoryi, midów, jest wprost mysteryami natury spirytystycznej. Dostęp do tego związku mają wszyscy plemieńcy, ale kandydat musi przejść przez obrząd wtajemniczenia. Kiedy zaś dostanie się do mysteryj, jeszcze przechodzi przez szczeble hierarchii, zanim pozna wszystkie tajemnice. Niepodobna wdawać się w opis szczegółów, towarzyszących temu dopuszczeniu do związku. Winniśmy jednak podkreślić ich charakter, nawskróś przypominający seanse. Odbywają się one w półświetle, istnieje coś w rodzaju łańcucha, są kierownicy, arcykapłani związku i zarazem medya: przedmioty same niby się poruszają, puste worki się nadymają i czołgają.

Nie towarzyszymy Hoffmanowi w drobiazgach, niezmiernie ciekawych a dotyczących strony obrzędowej, ponieważ leżą już po za granicami niniejszego artykułu. Praca etnografa fundacyi Smithsonowskiej wykazała, że to, co uważamy za kategoryę jednolitą, składa się z kilku odłamów wyspecyalizowanych, co większa, każdej takiej grupie odpowiada szczególny podkład psychiczno-fizyologiczny. Zręczność i kuglarstwo, oraz tresura duchowa podnoszą te właściwości przyrodzone lub nadają im wygląd psychiatryczny. Na czem różnica ta polega, jakie postacie przybiera, to i inne pokrewnej natury pytania są przedwczesne. Sumiennie zbadanego materyału, popartego przez odpowiednie studya w naszej kulturze, nie posiadamy, zawierzać zaś pierwszej lepszej opowieści, chociażby powtarzała się wielokrotnie, nie mamy powodu, a nawet prawa, bo by to nas mogło zaprowadzić na manowce. Zaznaczymy tylko, że badając psychologię szamanów, fetyszerów i innych mistrzów filozofii pierwotnej, spostrzegamy pomiędzy nimi przedewszystkiem dwa typy odmienne: jeden, który ćwiczy wolę swoją w kierunku zewnętrznym, tj. oddziaływania na innych i poddawania im rozkazów; drugi zaś, wprawiający się w odbieranie takich poleceń. Pierwsi—to nasi „magnetyzerzy,“ z którymi da się może połączyć parę postaci ze świata przesądów naszego ludu; „oczy urocze“ — cioty rzucające czary na kogoś itd. Praktyki tego rodzaju są pokrewne z usypianiem hypnotycznem, a raczej z poddawaniem myślowem. Drugi typ, bierny, może należałoby jeszcze rozpołowić na takich, którzy ulegają rozkazom z zewnątrz przychodzącym i wpadają w szczególny stan duchowy, oraz innych, tracących zwykłą świadomość pod wpływem własnej woli, niekiedy wzmocnionej działaniem mechanicznem: dreszczami, wpatrywaniem się w kryształ górski itd. Zdaje się, iż różnorodność w tym zakresie jest bardzo wielka i że zasadniczą podstawą jest nietylko uśpienie hypnotyczne, ale inny stan duchowy, mało jeszcze zbadany, chociaż powszechny wśród mistyków a pokrewny transowi medyów: polega on na dreszczach konwulsyjnych, przyćmieniu normalnej umysłowości i żywiołowem wyładowywaniu się cerebracyi nieświadomej. Są to prorocy, wyrocznie, znachorzy jasnowidzący. O tym przedmiocie wyszła świeżo książka, z którą niebawem poznajomimy czytelników. Hoffman do tych kategoryj dorzucił jeszcze czarodziejów od ognia.

Zdaje się zatem, że zawód szamanów przedstawia dobór szczególnych usposobień. Nasze domy dla obłąkanych, kuglarze, medya spirytystyczne, histero-epileptycy — oto punkty wytyczne, pomiędzy którymi wahają się natury, uprawiające praktyki szamańskie i będące mistrzami kunsztu czarodziejskiego.

L. Krzywicki.

*) The Midewiwin, or Grand medicine-society of the Ogibway.

LITERATURA I SZTUKA.

Z POWODU KONKURSU.

I.

Pierwsze ogólne wrażenie bardzo dodatnie. Ściany Salonu Towarzystwa zachęty pozawieszane szczelnie płótnami sporych rozmiarów. Rozmaitość treści znaczna i wszelakie rodzaje kolorytu zaciekawiają odrazu i każą ci nawet z pewną chciwością przebiegać od ram do ram.

W tej chwili konkurs jest już rozstrzygnięty; nie obowiązuje to nas jednak do trzymania się w przeglądzie jego planu—porządku, w jakim udzielone zostały nagrody. Zacznijmy więc od tego, co jest najoryginalniejszem i przed czem stoi kupa ludzi, wzruszając ramionami z wyrazem zakłopotania — od rysunku węglowego, wielkości obrazu, a roboty p. An. Kamieńskiego. Nazwisko stało się znajomem od bardzo niedawna i chyba głównie za pośrednictwem Salonu artystycznego na Nowym Świecie, który wystawił mnóstwo jego szkiców. Prace to były niejednakowej wartości, pośpieszne i często powierzchowne albo dyletanckie, jak gdyby nie były przeznaczone na widok publiczny, lecz bez wiedzy i chęci autora wyjęte zostały z jego albumu prywatnego. Kilka między niemi portretów osobistości z drużyny artystycznej odznaczało się trafnością, pewną siłą charakterystyki i pewną też oryginalnością w układzie. Zwłaszcza ładnym był świeży nieboszczyk Podkowiński; stał na schodkach (podium), zbudowanych specyalnie dla „Szału,“ którego górnych części niepodobna byłoby malować bez pomocy wzniesienia—i wpatrywał się w swoje dzieło, z wyrazem twarzy, który przez tendencyjne trochę wyolbrzymienie czoła i odpowiednie światło, miał w sobie znamię natchnienia. Kompozycya również śmiała, oryginalna, żywa i poetyczna, choć oczywiście, jak i poprzednie, nie pogłębiona należycie.

A to, co teraz p. Kamieński dał na konkurs, posiada wszystkie owe cechy, zarówno dodatnie jak ujemne, w wyższym jeszcze stopniu. Pracownia rzeźbiarza: na lewo w pół cieniu jakaś ogromna, wyniosła grupa z wielu figur złożona, majaczejąca konturami klasycznymi, a choć niewyraźna, przecież pełna polotu i patosu. Na prawo zaś, na nędznym barłogu, owinięty kołdrą, siedzi artysta i patrzy z podełba, ponuro i smutno na ową właśnie przeciwległą mu grupę lub może na widmo śmierci kościste, z wieńcem laurowym na czerepie, zarysowane mglisto w powietrzu. Rzeźbiarz to więc umierający, zmarnowany przez nędzę i chorobę; ginie zaś na samym progu sławy i przeczuwa, że go ozdobią wawrzynem po śmierci. Nie potrzeba, rozumie się, objaśnień do tej alegoryi, jest aż nadto wyrazista. Cóż może być prawdziwszego i czytelniejszego, niż szkielet

w wieńcu? To nawet figura w tym obrazie zbyteczna; tchnie melodramatem i łzawemi skargami jakiegoś Chattertona, przytem niepotrzebnie przypomina tu pospolite wyobrażenia o śmierci—przecież artysta oryginalny, a tylko takiemu pozwala się jak pan zdychać z głodu i sieroctwa, ma i wyobrażenie nieco nowsze i odmienniejsze od tych, któremi żyje jego kat—pospólstwo duchowe. Po co ta domieszka prostactwa i balladowej jaskrawości i czyż nie dosyć byłoby tej posępnej, złamanej postaci rzeźbiarza, oglądającego ostatniem może wejrzeniem swoje niedokończone dzieło, swoją pracownię, swoje marne poddasze? Mojem zdaniem, jest w niej szczera romantyczna tragedya, jest jakaś niepowszednia, rozwichrzona żałość w pozycyi i groza spojrzenia, w pysznych efektach światła. Bo gdy on sam leży w miejscu jaśniejszem, na wprost niego szkice i grupy toną w pewnym mroku, stłoczone jak gdyby w dali tajemniczej, z której wyłamują się pocztem duchów. A nad samą jego głową przyczepiona do muru uśmiecha się śnieżno-biała gipsowa główka niewieścia, figlarna, naiwna wesoła — to już nie melodramatyczne, ale całkiem naturalne, ot jeden ze zwykłych sprzętów pracowni, a jak on dużo mówi swą miną i jasnością! Wogóle w całym układzie w uscenizowaniu terenu znać prawdziwą twórczość, poczucie naturalnego bezładu i wielką rozmaitość linii. Jest to—po za ową śmiercią oczywiście—kompozycya rozumna i logiczna, doskonale skupiająca wszystkie czynniki obrazu w jeden moment, trochę może naiwna, ale za to szczera—a choć dużo jej brak do wykończenia, zwraca uwagę i pociąga widza.

Zresztą może ona tylko dla mnie ma tyle znaczenia i powabu? Może się mylę, widząc w tym rzeźbiarzu—malarza Podkowińskiego? Toż oni do siebie podobni z twarzy, a i losy ich mają też dużo wspólnego. Nie ręczę, czy p. Kamieński nie rysował tej fantazyi po wyjściu z pracowni młodego, nerwowego suchotnika. Choć, gdyby nie świeża data zgonu tego biedaka, możnaby domyślać się, że rysunek powstał już po powrocie z pogrzebu i pod wrażeniem owego stosu kwiatów i wieńców, które zakrywały trumnę, i tego długiego sznura publiczności, brnącej mimo zamieci po kostki w śniegu na cmentarz. Tylko dla czego w takim razie rysownik tak niesprawiedliwie obszedł się ze śmiercią? Czyż to ona winna temu, że Podkowiński zmarniał? Ona mu przyniosła ukojenie i sławę, po miesiącach bólu i po latach szyderstw i wewnętrznego szamotania się w pogoni za majakiem, w pięciu się na szczyt prawdziwej sztuki. Dlaczego zamiast kościotrupa nie narysował raczej pasibrzucha—społeczeństwa? Albo upiora głupoty i szablonu? Kto jeśli nie one zabijają ducha i talent? kto, jeśli nie ten tak szumnie sławiony i nazywany „ogół“ czytelników i gapiów wystawowych? Toż on a nie kto inny zatruwa każdemu śmielszemu umysłowi krew i odbiera soki życia, odmawia poparcia, szczuje sforą psów—reporterów albo bezmyślnych pism humorystycznych, strąca kamieniami ze skał Parnasu, po których wdzierać się chce skrwawionemi dłońmi zuchwalec nie z grona pupilów i benjaminków prasy.

Nie chcę brać rzeczy dramatycznie, bo ludzie nie wierzą, że dziś gorzej się dzieje niż w epoce Chattertona, że choć minął romantyzm, armia wrogów ducha i czucia wzrosła, rozpleniła się jak robactwo, którego nikt nie tępi. Czasy romantyzmu—to czasy dla twórczości złote; wtedy było się lżonym przez nieprzyjaznych poetów, przez szkoły lub rządy, a teraz przez kogo? przez ulicznych zbirów reklamy, przez pieczeniarzy jadalni bankierskiej, a w najlepszym razie przez profesorów zawistnych, którzy na grób wielkiego Matejki, jak i na mogiłę wspaniale rozwijającego się Podkowińskiego, rzucają ten sam suchy chróst frazesów zazdrosnych, opiewających same tylko błędy, wstydzących się nawet światła dziennego, a więc niepodpisanych.

Rzeczywiście, jakie to szczęście, że teraz nikt już w malarstwie nie zapowiada wielkiego talentu—bo przynajmniej o jeden smutny pogrzeb mniej będziemy mieli. Jakie to szczęście, że nie rodzi się teraz żaden poeta, bo by go wnet tępota, udrapowana w niby—profesorską togę zabiła na miejscu słownikiem Lindego; arystarchowie krytyki z wysokości trójnoga, wzniesionego dłońmi wdzięcznych uczennic, zasypali by na śmierć gradem prawideł stylistycznych, skamieniałych od lat tysiąca; regestratorzy literatury swojskiej zagryźliby, w imię „obywatelskości“ i zagrożonej w swoich prawach przez „dekadentyzm“ impotencyi...

Nie, nie można brać tego wszystkiego dramatycznie. W losach Podkowińskiego jest za dużo komizmu. Komizm taki wprawdzie jest w stanie wycisnąć łzy, ale zawsze i do śmiechu pobudza. Za życia go dręczono, szpilkowano krociami przygryzków i karykatur. Nawet w poważnych miesięcznikach znajdowałem artykuły, podobno do wypracowań młodych kleryków, na temat „nowego objawu zwyrodnienia w sztuce“ (p. Karpowicza).

A teraz, gdy młode i obiecujące życie zostało strawione gorączką nerwów i płuc, poświęca mu się całe numery, wspomina się o jego „arcydziełach,“ wznosi się do nieba ręce z zachwytu. Marna zgraja... Tak zwany „ogół,“ który, odkąd sztuka nasza istnieje, nic jeszcze nie zrobił dla niej i nawet nie postarał się o zrozumienie, na czem ona polega, który rzeczywiście skandaliczne nieraz wygłasza w ocenach swych zdania—chciał, ażeby mu malarz dawał siebie gotowego odrazu! Kto tutaj wykształci artystę, zbyt ubogiego na to, żeby patrzeć na wielkie wzory za granicą? Pozostawiony samemu sobie, musi się błąkać, zanim zrozumie swoje powołanie, właściwy kierunek swojego ducha i zanim zdobędzie spokój zupełnej niezależności i równowagę, potrzebną do kompozycyi w szerszym zakresie. Nasze społeczeństwo sądzi, że z artystą można się tak obchodzić, jak z wołem roboczym, włożyć go w jarzmo, dać trochę podłego obroku i będzie—geniuszem! Nie wie ono, że talent to roślina wrażliwa, to system nerwowy, ustawicznie podniecony, który ma wprawdzie siłę wytrzymania uderzeń zasłużonych, ale nie ma siły obejść się bez duszy bratniej, rozumiejącej i współczującej mu. Zamiast krytyki ostrej, która kraje ale i leczy, uprawia się krytykę tępą, która rani boleśnie i zanieczyszcza ranę jadem—jadem obojętności na wszystko, co nowe, nieznane, niecodzienne. Podkowiński był wrażliwym bardzo i ambitnym niesłychanie. Chociaż ten i ów go pochwalił (a *Tygodnik ilustrowany* i *Kuryer codzien.* stale i oddawna go popierały, co dało im zupełne prawo złożyć na trumnie zmarłego wieniec), to jednak większość go bagatelizowała. To nic nie znaczy, że on udawał minę tęgą i mówił: „Maluję dla siebie, więc mi wolno obraz mój pociąć na kawałki.“ Nieprawda! nikt nie tworzy dla siebie; dla siebie można tylko palić wonne cygaro, dłubać w zębie po smacznym obiedzie, albo zgarniać grosze. Pisze się i maluje dla innych—więc gdy ci inni patrzą bezmyślnemi ślepiami na to, co kipi namiętnością i duchem—cóż pozostaje artyście innego, jak pozwolić się zalać wódce, albo zasuszyć tuberkułom?

Takich było u nas wielu i—miejmy nadzieję w Bogu—będzie jeszcze więcej...

Cezary Jellenta.

NOWE KSIĄŻKI.

Wydawnictwa popularne Gebethnera i Wolffa: Norman Lockyer. *Pierwsze początki astronomii*, przełożył W. Skłodowski, 1894: Archibald Geikie. *Geologia*, tłomaczył prof. K. Jurkiewicz, 1894; Archibald Geikie. *Geografia fizyczna*, tłomaczył J. Morozowicz, 1895.

W ocenie prac geograficznych, zjawiających się w naszem piśmiennictwie, tak często zdarza nam się wypowiadać słowa nagany, że nieobeznany z przedmiotem czytelnik mógłby mnie posądzić o jakiś „hiperkrytycyzm,“ lub—jak to teraz zaczynają określać stateczni i „wytrawni“ literaci warszawscy—o „wątrobę“; albowiem takeśmy się już uspołecznili, że zdolność oburzania się na fałsz i blagę, a choćby tylko zdolność bezwzględnego ich wytknięcia, uważamy za objaw anormalny, chorobliwy; nie możemy zrozumieć prostej rzeczy, iż książka przepełniona fałszami jest zarówno występkiem i przynosi szkodę społeczeństwu, jak podrobione produkty spożywcze, a nawet, ze względu na nasze społeczeństwo, jak zafałszowane lekarstwo; tak więc powód do oburzenia jest, zdaje mi się, aż nadto uzasadniony.

Ale na ten raz, to jest w stosunku do wyżej zatytułowanych wydawnictw, jesteśmy w tem wyjątkowo szczęśliwem położeniu, że nietylko nie potrzebujemy się oburzać, ale musimy wypowiedzieć wogóle same tylko słowa pochwały.

Wszystkie trzy wymienione książeczki, stanowiące (w obszerniejszem pojęciu) geografię astronomiczno-fizyczną, są pochodzenia angielskiego. Jeżeli w dziełach uczonych anglicy ustępują nieraz niemcom (szczególnie w powyższym przedmiocie) z powodu niedostatecznego obeznania się z literaturą danej dziedziny, lekceważenia tego, co robią inne narody, to w dziełach popularnych, średnio biorąc, stoją oni wyżej zarówno od niemców, jak i od francuzów: podczas gdy popularne dzieła niemieckie są, nie mówiąc o wyjątkach, przeważnie dogmatycznem zestawieniem rezultatów nauki, a francuskie—nagromadzeniem frazesów, śród których ziarna wiedzy z trudnością dadzą się odszukać, to dzieła popularne angielskie są wprowadzeniem czytelnika do warsztatu nauki. Przeczytawszy więc dzieło popularne niemieckie, czytelnik przeciętny nabywa pewnego materyału naukowego, specyalista nie znajduje nic nowego dla siebie; z książki francuskiej pierwszy dowiaduje się w końcu np., że ziemia obraca się koło osi, drugi doznaje niewysłowionego znudzenia; za pomocą dzieła angielskiego, czytelnik przeciętny rozszerza swój widnokrąg umysłowy, nabywa zdolności i chęci do samodzielnego obserwowania i zastanawiania się, otrzymuje nie materyał naukowy, lecz narzędzie do naukowego badania. Nawet specyalista uczy się tu nieraz, znajduje coś nowego dla siebie, mianowicie nowe sposoby przedstawienia rzeczy trudnych tak, aby były zrozumiałe nawet dla umysłów nieprzygotowanych.

Taki charakter noszą właśnie wszystkie trzy wyżej zatytułowane książeczki, a śród nich szczególnie wyróżnia się pod tym względem „Geologia,“ która w mojem przekonaniu jest małem arcydziełem. Tłomaczenie wszędzie wierne, czasami nawet aż do przesady (tak np. Anglia jest „naszym“ krajem, a polski czytelnik wyszedłszy na wycieczkę, znajduje się w „hrabstwie“), ale wolimy taką przesadę, niż modne u nas a krzywdzące obcych autorów przeróbki w rodzaju np. niefortunnego spolszczenia geologii Dany przez p. Siemiradzkiego. Język powyższych tłomaczeń jest piękny, czasami nawet poetyczny, szczególnie u Geikiego, jak np. w „zakończeniu“ geologii lub w opisie krainy wiecznych śniegów („Geografia fizyczna“), co ujawnia w Geikiem nie tylko uczonego, umiejącego bystro obserwować i głęboko badać, ale i estetyka, wogóle człowieka, który potrafi głęboko czuć.

Błędów, we właściwem tego słowa znaczeniu, trudnoby było w książeczkach tych się dopatrzyć, albowiem, co się u nas nie często przytrafia, i autorowie należą do najznakomitszych uczonych i tłomacze tacy, którzy znają i przedmiot i język. Dla wynalezienia już nie błędów, ale po-

wnej nieścisłości wyrażeń, trzeba tu, że tak powiem, użyć mikroskopu lub analizy spektralnej; a jednak uniknięcie nieścisłości przy tak wysokim stopniu spopularyzowania, jest rzeczą niezmiernie trudną. Nieścisłości te wynikły bądź z powodu nieodpowiedniej stylizacyi, bądź stąd, że autor, biorąc za punkt wyjścia jakiś fakt konkretny, stawia, jako wniosek, twierdzenie w formie ogólnej, które jednak ma wartość tylko dla danego przykładu. Tak np. „w Geografii fizycznej“ czytamy (str. 35): „W krajach gorących, gdzie powietrze bywa suche, to jest zawiera małą ilość pary wodnej“ itd. Otóż wiadomo, że w krajach gorących ilość pary wodnej bywa właśnie wielka; trzeba tu było zmienić stylizacyę na taką: „Gdzie w krajach gorących jest sucho, tam“ itd. (jest to bowiem wyjątek nie reguła). W Geologii zaś przy końcu znakomitego genetycznego zbadania torfowiska powiedziano, iż pokłady gliny na dnie dowodzą, że tu była woda; jest to słuszne dla danego przykładu, ale nie dla gliny wogóle, bo glina może być tak dobrze aluwialną, jak eluwialną (powstałą na miejscu z rozkładu skały) lub lodowcową, albo eoliczną (nawianą). Dowód istnienia w jakiemś miejscu wody słonej związano też nie dość ściśle (str. 80) z istnieniem morza (przecież i jeziora bywają słone), a istnienie lasów podwodnych wzięto (str. 152) za niezbity dowód „obniżania“ lądu (tymczasem las mógł się ześlizgnąć) i wogóle nie uwzględniono krytycyzmu Suessa w tym względzie. W Astronomii czytamy (str. 13) nieściśle wyrażenie: „*ponad* brzegiem ziemi“ (bo wszystkie punkta koli leżą jednakowo wysoko), powinno być „w obrębie widnokręgu“; na str. 16 promień widnokręgu podano na parę mil, nie mówiąc, że to angielskie, a na str. 26 podano niewłaściwy rysunek globusu: siatka globusu nigdy tak przedstawiać się nie może patrzącemu (proste równoleżniki): nikt nie patrzy na globus z nieskończenie wielkiej odległości.

Są to jednak wszystko, jak powtarzamy, drobnostki, nie ujmujące nic z wysokiej pedagogicznej wartości powyższych książeczek; szczególniej właśnie nasi pedagogowie powinni je wziąć do serca, gdyż u nas sposób uczenia jest zupełnie odwrotny: z każdej nauki potrafią zrobić klepaninę pamięciową; u nas więc: geografia to statystyka, historya to chronologia, literatura to bio- i bibliografia, nauka języków to ortografia i deklamacya, matematyka to rachmistrzowstwo, nauki przyrodnicze to bezduszna systematyka itd. Jednem słowem, wszystkie nauki zmierzają u nas do zabicia władz spostrzegania i myślenia, a wpakowania w głowę jak największej ilości faktów, do uczynienia człowieka maszyną, wykonywającą automatycznie rozkazy.

Otóż z książeczek powyższych wielu naszych pedagogów powinno się poinformować, jaki jest cel nauki i jak do tego celu zdążać należy.

Wacław Nałkowski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

(Dokończenie).

Nasz przeto „lwi gród,“ zawsze to zbliżone mniej więcej do „syreniego grodu,“ należy do miast najuboższych i najbardziej obojętnych na wszystko. Niczem jego ociężałego cielska, napojonego piwem, rozruszać nie można. Dotychczasowy teatr, gdyby nawet dawał dwa przedstawienia tygodniowo, wystarczałby zupełnie na potrzeby duchowe społeczeństwa tutejszego, które po za knajpą nic zna i nie pragnie innego życia. Nie przesadzano, mówiąc, że na siedem przedstawień, na sześciu bywa po sto osób—po co dla takiego społeczeństwa teatr—nowy, wielki, europejski? Pobudujcie, ojcowie miasta, budy z małpami, sprowadźcie sobie błaznów cyrkowych, z Wiednia naturalnie, ażeby waszym żonom i dzieciom krzywe pyski pokazywali, urządźcie wyścigi osłów lub żółwiów dla waszych hrabiąt lub baroniąt, ale nie budujcie teatru tam, gdzie ludzie nie potrzebują ani umysłowego pokarmu, ani umysłowych rozrywek, gdzie wiedeńskie „szansonistki“ wystarczają za teatr! Nie bądźmy jak ta elegantka, która pod jedwabną spódnicą nosi łachmany. Brak nam wody do picia, kanalizacyi, światła dobrego, zupełny brak dozoru policyjno-sanitarnego do tego stopnia, że są domy, restauracye nawet, gdzie drzwi od kuchni stykają się z drzwiami od miejsc ustępowych; zamiast bruków większa część ulic wysypana kamieniem wapiennym, tak, że w jesieni i na wiosnę chodzić nie można, a w lecie trzeba kurzem oddychać—a wam zachciewa się nowego teatru, ażeby pustkami świecił! Podniesiecie na to, ażeby mieć teatr, podatek domowy i dochodowy—tego chcecie?

Rada miejska aż do znudzenia rozprawia o teatrze; wyłaniają się coraz nowe pomysły, gdzie go budować; zastanawiają się, w jakiem miejscu stanie ta „ozdoba miasta,“ najmniej nad tem, czy stanąć może lub powinien. Ostatecznie zdecydowano, że teatr stanie na placu Gołuchowskich, obok dzisiejszego teatru Skarbka, w dzielnicy żydowskiej, jednej z najbrudniejszych i najwstrętniejszych, jaką Lwów posiada, ale takie będą boki i tylna część teatru, front ma być zwrócony w stronę pomnika Jabłonowskiego, kasy oszczędności i tyłów kościoła Jezuickiego. W ten sposób przy pomocy teatru zakrytoby zupełnie brudy żydowskiej dzielnicy. Gdy jednak od dobrych chęci i estetyki przystąpiono do badania terenu, okazało się, że postawienie w tym punkcie teatru napotyka trudności poważne. Architekt Rawski obliczył, że samo założenie fundamentów kosztowałoby przeszło 170 tys. zł. reń. ze względu, że pod placem przepływa koryto Pełtwi. Prof. Jegermann poszedł jeszcze dalej: utrzymuje on, że budowa teatru na placu Gołuchowskich jest wprost niemożebna. Zwrócił uwagę ojców miasta na to, że dotychczas nie zrobiono niwelacyi placu, jako też nie zbadano, jak głęboko jest tam woda gruntowa. Opierając się na starych planach Lwowa, prof. Jegermann twierdził, że Pełtew płynęła dawniej w tem miejscu, gdzie dziś leży ul. Karola Ludwika, a więc plac Gołuchowskich jest niejako dawnem łożyskiem Pełtwi i najniższem miejscem, do którego spływały i spływają wody z doliny pełtwiańskiej. Do niedawna było w tem miejscu niezgruntowane bagnisko, a najlepszym dowodem, że dzisiejszy teatr Skarbkowski, jakkolwiek położony wyżej od placu Gołuchowskich i na uboczu, zbudowany został na palach, których 4,000 wbito jeden przy drugim. Dom zaś Hauenschilda, naprzeciw teatru, jeszcze dalej leżący od placu Gołuchowskich, po wybudowaniu zapadł się o 20 centym. Słusznie tedy twierdził Jegerman, że miasto pragnie postawić teatr na niezbadanem bagnisku, które może pochłonąć olbrzymie sumy, bez potrzeby narażając na straty miasto i mieszkańców. Nie jest-że to, jak dotychczas, budowanie na piasku? Mimowoli przychodzi na myśl piosenka:

Chciało się Zosi jagódek,
Kupić ich za co nie miała...

W krótkim bardzo czasie, jeden po drugim zeszło do grobu dwóch ludzi, którzy na wspomnienie zasłużyli. Jednym był Wiktor hr. Baworowski, drugim Tadeusz Łopuszański. Pierwszy znany jest jako tłomacz Byrona; dam pokój jednak poecie, a kilka słów powiem o człowieku. Całe życie uchodził za dziwaka, ale—bodajbyśmy więcej takich dziwaków mieli! Człowiek ten był jedną z tych zagadek psychologicznych, które stworzone są na to, ażeby społeczeństwo ustawicznie odwracało się od nich. Bywa to, gdy się wzajemnie nie rozumieją, a zdaje się, że i teraz mieliśmy taki wypadek. Już samo zwrócenie się do Byrona i umiłowanie jego świadczy najlepiej, że np. Baworowski obdarzony był niepospolitą i piękną duszą—wolał przeto sam z nią chodzić po świecie, niż rozdrabniać na atomy pomiędzy karłów. Szedł też przez życie samotny. Z rodziną nie żył—nie rozumieli się, a powinowactwa krwi za mało, ażeby porozumienie duchowe wytworzyć; brata swego wydziedziczył zupełnie i formalnie. Mieszkał we Lwowie, nieuczynny, samotny, skąpy. Nareszcie wzrok tracić zaczął, chociaż nie był jeszcze człowiekiem zgrzybiałym, bo zaledwie kilkadziesiąt parę lat liczył. Czy rozpacz, z utraty wzroku płynąca, czy może coraz bardziej wzmagający się smutek, dzielący go od ludzi jego wieku, fortuny, sfery kupczących czcią własną, a może jedno i drugie, dość, że postanowił zakończyć swoje rachunki z życiem. Znaleziono go z gardłem, przeciętem brzytwą tak okropnie, że głowa zawisła na kręgu pacierzowym. Rodzina bliższa i dalsza ostentacyjnie usunęła się nawet od pogrzebu, ale pilnowała kasy, stale utrzymując, że krewny i brat ich nie zostawił żadnego testamentu. O to właśnie im chodziło; skoro niema testamentu, wszystko należy do nich. Tymczasem sędzia, otworzywszy kasę ogniotrwałą, znalazł w niej testament i papiery wartościowe w największym nieporządku, rzucane tak, jak ktoś niepotrzebne rupiecie rzuca na kupę lub do koszyka; papiery te jednak posiadały półtora miliona złr. wartości, a testament głosił, że cały swój majątek Baworowski zapisał na cele publiczne: szkoły, biblioteki etc. Czy to nie dziwak!

Drugim, którego śmierć zabrała nagle, chociaż nie tak tragicznie, był Tadeusz Łopuszański, publicysta. Ostatnimi czasy wydał dwie większe prace: *Pięćdziesięciolecie towarzystwa gospodarskiego we Lwowie* i *Żydowskie stowarzyszenia kredytowe w Galicyi* (Lwów, 1893). Zakończył życie nagle, pozostawiwszy troje dzieci i żonę bezzabezpieczonej przyszłości materyalnej.

Cho.

PAMIĘTNIK.

Powiśle.

Toczyły się niedawno ożywione rozprawy śród specyalistów w kwestyi, czy części Warszawy, rozłożone nad Wisłą, powinny być prędko skanalizowane, czy też mogą poczekać; czy należą one do najniezdrowszych dzielnic miasta, czy też nie? Szczerze mówiąc, cała ta dyskusya robiła na nas wrażenie sporu o to, czy parostatek należy do zwierząt ssących, czy też do ptaków. Na nieszczęście, nauka, a raczej rozmaite jej służebnice mogą składać świadectwa w obronie takich twierdzeń, których fałsz w oczy bije; znaleźli się też kapłani wiedzy, którzy niedalecy byli od wniosku, że chorzy powinni być układani rzędem w błocie nadbrzeża Wisły, a z pewnością odzyskaliby zdrowie. Tymczasem nie potrzeba być ani bakteryologiem, ani hygienistą, dość spojrzeć na te olbrzymie śmietniska i kałuże, jakie ciągną się wzdłuż rzeki w parowiorstowej długości, ażeby uwierzyć, że stanowią one rodzaj Bengalu, ognisko najrozmaitszych miazmatów, wielkie podłoże odwiecznych kultur dla ustrojów chorobotwórczych. Pewien słynny lekarz warszawski tak był przekonany o zabójczych wyziewach tej okolicy, że nigdy do niej nie jeździł z obawy o swe zdrowie. Powiśle zatem powinno być nietylko skanalizowane co prędzej, ale sprawia ono nam ciężki wyrzut sumienia, że tak długo było upośledzone. Tego domaga się najelementar-

niejsza hygiena. Ale tego również domaga się najelementarniejsza rachuba korzyści materyalnych. We wszystkich na świecie miastach zagranicznych brzegi przepływających przez nie rzek są szczególniej wyzyskiwane. Tam stoją najwspanialsze budowle, zakłady publiczne, ogrody itd. Tymczasem my, jak gdyby na przekór temu powszechnemu upodobaniu i rozumnej praktyczności, pozostawiliśmy place nad Wisłą w zupełnem opuszczeniu, przeznaczając je dla wywózki śmieci, na forum dla wron i tułających się psów. Wyobraźmy sobie — a doprawdy nie potrzeba tu zbyt bujnej imaginacyi — jak piękne i lubiane dzielnice zyskałaby Warszawa, gdyby bodaj lewy brzeg rzeki był zabudowany i ozdobiony skwerami! Kto wie, czy tam nie przeniósłby się punkt ciężkości życia i ruchu. Wobec tego prawdopodobieństwa albo raczej pewności, są ludzie, którzy chcieliby opóźnić kanalizacyę Powiśla i pragnęliby pozostawić je w tradycyjnem zaniedbaniu. Ledwie można uwierzyć własnym uszom!

Kasa literacka.

Z kilku stron — a między innemi i ze szpalt *Prawdy* — odezwały się zarzuty przeciwko ojcom projektu t. zw. kasy literackiej, ktorzy, nie pytając szerszego koła interesowanych, odegrali samozwańczą rolę szarych gęsi. Otóż jeden z czytelników przesyła nam następujące uwagi w tej sprawie:

„Czy panowie nie pojmujecie znaczenia *genitivus partitivus?* Jeżeli nie Curtius, to Olendorf was nauczy: *du sucre*, to nie: cukru, ale: cukier. Podobnie: *tout Paris* — to nie wszyscy mieszkańcy Paryża, ale pewna jego cząstka, która wyraża wszystkich. Jeżeli tedy kawałek cukru może zastępować wszystek cukier, a trzystu elegantów i gapiów — cały Paryż, to dlaczegóż pięciu dziennikarzów i sześciu reporterów nie miało zastępować całej literatury — nawet wobec projektu kasy? Gdy na kolacyi u hodowcy pieczeniarzów znajdzie się jeden redaktor, dwu wierszopisów i trzech reporterów, mówimy: wczoraj na raucie u państwa X. widzieliśmy śmietankę literatury. Gdy za trumną popularnego synekurzysty pójdzie ten sam garniturek, mówimy również: w orszaku pogrzebowym uczestniczył cały świat literacki. Gdy gazeta, która codzień tonie w niepamięci i codzień wypływa na wierzch, odezwie się przed nowym rokiem do swych abonentów, zaręcza, że nad jej wielkością pracują wszystkie talenty literatury ojczystej. Na zasadzie tej *partis pro toto* pięciu reporterów ma prawo nazywać się kwiatem, światem, śmietanką piśmiennictwa krajowego, przemawiać: my literaci, układać statuty stowarzyszeń literackich itd. Kto przeciw temu występuje, chce obalić tradycyę — o co wreszcie mniejsza, ale chce pokonać siłę wyższą, której uledz powinien. Proponuję tedy zaprzestanie walki, czyli innemi słowy: łapania w worek wiatru, ktory pomimo przeciwnych dmuchań obracać będzie dalej śmigi młynów dziennikarskich. Pamiętać trzeba, że prasa to nie parlament, ani też wojsko, mające swoich hetmanów, swoje rangi i stopnie zależności — to jarmark, na którym ten panuje, kto najwięcej sprzedaje.“

Może to i racya...

Dwudziestolecie.

Dwudziestolecie pracy p. B. Folanda w teatrze na rozmaitych stanowiskach uczczono obchodem pamiątkowym. Nie możemy nie przyłączyć się do ogólnego chóru sympatyi, jakiej ten dobry człowiek używa. Od charakterów ludzkich trzeba żądać nie tego, czego im brak, lecz cenić w nich to, co dodatniego posiadają. Fałszywą miarę przyłożylibyśmy do Folanda, gdybyśmy szukali w nim jakiejś wyjątkowej energii, sprężystości i tej siły, która bywa pożyteczną, chociaż bywa twardą. Natomiast jeśli rozważymy te przymioty, które są właściwościami natur miękich a szlachetnych, łatwo dostrzeżemy jego czułe, przyjacielskie, życzliwe serce. Niewątpliwie przyjemnością dlań było zawsze czynić dobrze, dogodzić, o ile można, cudzym życzeniom; złą ręką nie gasił promyków cudzego szczęścia, a chętnie je zapalał. Jako zwierzchnik teatralny miał koło siebie lub w zależności od siebie mnóstwo ludzi, z istoty swej przeważnie drażliwych, niezadowolonych, nadmiernie pretensyonalnych — umiał jednakże tak poczciwie z nimi się obchodzić, że zamiast gorzkich uroszczeń, zachowali dlań szacunek i sympatyę. To znaczy więcej, niż się na pozór zdaje. Dziś rzadszą jest dobroć, niż talent, a w każdym razie złość bywa tak częstą, że w obecnem pokoleniu objawia się jakaś głęboka tęsknota do serc czulszych i szczerych dla nich szacunek.

Co zrobił szewc?

Jeśli to tylko prawda...

Pewien szewc warszawski na drodze do Kołbieli spotkał furę, naładowaną batami, wiezionymi do Warszawy. Że zdjęła go ciekawość obejrzenia ich — to nie dziwnego, ale że obejrzawszy i dostrzegłszy w nich poczernioną tekturę zamiast skóry, wezwał policyę, która cały transport skonfiskowała — to już wychodzi po za granice naszych zwyczajów. Ów szewc bowiem powinien był albo nic nie mówić, albo, nawymyślawszy fałszerzom, pojechać dalej. Tak my zwykle robimy. Co mnie obchodzi — powiada każdy — że ktoś dopuszcza się szachrajstwa? Albo to ja jestem bocianem, oczyszczającym świat z gadów? Tymczasem energiczny szewc uznał się za bociana i ochronił kilkudziesięciu, a może kilkuset biednych ludzi od oszustwa. A może ta partya butów przeznaczona była na wywóz? Wszakże już rozsławiliśmy się w Cesarstwie obuwiem z tekturowemi podeszwami, które zdyskredytowały jedną z najlepszych gałęzi naszego przemysłu na rynkach dalszych i wstrzymały jej rozwój śród najświetniejszych warunków i widoków handlu. Gdybyśmy w każdym wypadku odsłaniali nadużycia i postępowali, jak ów uczciwy i roztropny szewc, nie rozpleniałyby się one tak bujnie i moglibyśmy zdobywać dla swych produktów szerokie pola zbytu. Sumienie jest to tak niezbędny pierwiastek, że nie można obejść się bez niego nawet w przemyśle i handlu.

Zjednoczeni aptekarze.

Kuryer warsz. donosi, iż właściciele aptek w Warszawie, chcąc wszelkie towary mieć bezpośrednio, postanowili otworzyć „skład materyałów aptecznych zjednoczonych aptekarzy.“ Umowę już zatwierdzono, na prowadzenie zaś interesu przeznaczono kapitał 100,000 rs. Fakt zasługuje na uwagę ze względu, iż garść tych ludzi przerzuca swą przedsiębiorczość na tory racyonalne, zgodne ze wskazówkami ekonomii; ale miałby także i dla ogółu wielkie znaczenie, gdyby na tym interesie spożywcy mogli coś skorzystać, choćby jakiś 10% różnicy, która pozostanie w kieszeniach praktycznych uczestników spółki. Dotychczas zyski aptekarzów krążą w przysłowiu. Trudno nam wnikać w ich gospodarkę, sprawdzać rachunki; to tylko pewna, iż żadna dziedzina handlu i przemysłu w stosunku procentowym od towarów nie daje tyle, co przedmioty apteczne. Prawda, właściciele tych zakładów tłomaczą się, że jeżeli jakieś ziółka kosztują grosz, to po wlieczeniu przyrządzenia ich, czyli pracy farmaceuty, wartość urośnie 20, 34, 50 razy. Jeżeli nawet piasek bezpłatny rozważyć na szalkach i porobić z niego proszki, to i w takim razie będzie on miał cenę... aptekarską. W dowodzeniach takich nigdy nie mówią, że ci, którzy mają do czynienia z moździerzem i szalkami, nie sprzedają swojej pracy po cenach aptekarskich, lecz przeciwnie—taniej niż baba wiejska zioła, zebrane w lesie. Należałby się i im jakiś procencik z zysków od bezpośredniego nabywania towaru przez zjednoczonych.

Spółka rybna.

Istniejące w Warszawie dwie spółki: jedna hodowców, druga sprzedawców ryb, przyszły nareszcie do rozumnego przekonania, że połączono siły i środki dadzą im mocniejsze podstawy. To jest najciekawsza, że obie grupy składały się dotąd prawie z tych samych uczestników, działały jednak oddzielnie, miały osobne zarządy i rachunki; traciły zatem dwa razy więcej energii, zabiegów i środków po to, ażeby obarczając spożywców wysokiemi cenami, otrzymywać liche zyski. Miejmy nadzieję, że połączenie bezcelowo i bezowocnie rozszczepionej pracy wpłynie dodatnio na bieg interesów, że mniej będzie w nich senności, a w zbiornikach—ryb „śniętych.“ Jest to przedsiębiorstwo, które przy umiejętnem pokierowaniu może dać znaczne dochody, wytworzyć poważną gałąź gospodarki. Już niegdyś wspominaliśmy, jak dalece przedsiębiorcy owi mają mało zmysłu praktycznego a dużo fałszywego pojęcia o oszczędności. Jedna spółka, usadowiwszy się gdzieś na Powiślu, nie postarała się nawet o napis, uderzający w oczy, ale natomiast zaopatrzyła się w cerbera (nie wiem, czy jest ten sam obecnie), który grubijańskiem obejściem się odstręcza interesantów. Nie posiada ona swoich sklepów w różnych dzielnicach, ani miejsc na targach, wreszcie bardzo jest skąpa w ogłoszeniach, które rzutki i wytrawny przedsiębiorca zagraniczny uważa zwykle za jeden z głównych warunków zjednywania klienteli. Może obecnie uczestnicy tej gałęzi gospodarki, po kosztownej nauce praktycznej, zrozumieją nareszcie tak proste zasady, bez których nie można marzyć o jakiem takiem powodzeniu.

W czynie.

Towarzystwo pszczelnicze w Warszawie, które dotychczas było zajęte układaniem planu pracy, obecnie już ujawnia swoją działalność praktyczną; zaczęło zaś od najważniejszego: pośrednictwa przy wyszukiwaniu posad pszczelarzom i ogrodnikom. Początek bardzo właściwy, gdyż bez fachowców nie mogą się rozwinąć działy gospodarki, którym ten organ służy. Ku wstydowi Towarzystwa ogrodniczego, nowa instytucya pomyślała o tem, co powinno być jego zadaniem. Nie należałoby również odwlekać stworzenia ogniska nauki rzetelnej: szczególnie bowiem pszczelarzy prawdziwie uzdolnionych kraj nasz posiada bardzo mało. Było Muzeum wykształciło trochę mężczyzn i kobiet, ale nawet z tej gromadki znaczna liczba poszukała sobie innego zajęcia, może dlatego właśnie, że dotychczas nie było żadnego organu pośredniczącego, więc ci, którzy nie mając środków do założenia własnych pasiek, liczyli na posady, zawiedli się w swych nadziejach, jak to bywa zwykle, gdy się poszukuje czegoś naoślep lub czeka na przypadkowy uśmiech losu. Dobry jest także drugi krok w czynie nowego Towarzystwa. Nie mając środków na wskrzeszenie *Pszczoły*, weszło ono w układy z *Zorzą* o udzielenie gościnności dla spraw pszczelnictwa i ogrodnictwa. Tą drogą przy umiejętnem traktowaniu rzeczy można także pożytecznie i płodnie działać na polu powyższych odłamów gospodarki.

Ważna wiadomość.

Wiecie państwo, co się stało? Oto słynny aktor Got, liczący 73 lata wieku, opuszcza „Théâtre français“ i żeni się ze swą młodziutką uczenicą! Wiadomość tę we „własnym telegramie“ pod osobnym tytulikiem podał *Kuryer warszawski*. Czy słyszeliście czytelnicy o aktorze Gocie i czy

mocno jesteście wzruszeni tem, co zaszło? Jednakże pisma codzienne bardzo często nas informują o tego rodzaju wypadkach wiekopomnych. Ze zdumieniem nieraz dowiadujemy się, że jakiś aktor Opery komicznej zapomniał kaloszów i skutkiem tego dostał kataru, że baletnicy teatru wiedeńskiego podczas najefektowniejszej „wyrzutki“ zleciał pantofelek z nóżki i spadł na łysinę kontrabasisty w orkiestrze; że ulubiona woltyżerka w cyrku paryskim stłukła sobie nosek aż do krwi, a jej towarzyszka po wywichnięciu palca jeszcze nie przyszła do zdrowia. Gdyby cudzoziemcy czytali nasze pisma, byliby zdumieni taką znajomością spraw zakulisowych ludzi, o których oni sami częstokroć nie wiedzą lub nie mają czasu nimi się interesować. Ale gdyby jednocześnie poznali nasze życie, jego potrzeby i warunki, skamienieliby chyba ze zdziwienia, że o sobie bardzo często mniej wiemy, niż o chińczykach, że potrafimy nawet adresować listy do nieboszczyków, znanych za życia.

W DALI.

Mińsk. Na schyłku roku ubiegłego zatwierdzono ustawę „Mińskiego Towarzystwa akcyjnego właścicieli gorzelni.“ Zadaniem jego będzie zbyt spirytusu na wywóz za granicę tudzież na rynki wewnętrzne. Kapitał zakładowy obejmuje 200 akcyi po 500 rs. każda, które muszą być rozebrane do 3 maja r. b. i opłacone zaliczką po rs. 250; pozostałe, po 250 rs. za każdą akcyę, mają być wypłacone w ciągu dwóch lat. W grudniu na posiedzeniu sekcyi gorzelniczej miejscowego Towarzystwa rolniczego przystąpiono do owych zapisów na akcye. Pomimo nielicznego zebrania i—ciężkich czasów, rezultat był nadspodziewanie świetny: zebrano podpisów na 50,000 rs., tj. połowę kapitału zakładowego. W razie, gdyby drugiej połowy nie pokryli właściciele gorzelni (z pierwszeństwem dla członków Tow. rol.), sekcya postanowiła sama rozebrać resztę akcyi w terminie prawnym (przed 3 maja). Nowa organizacya ma doniosłe znaczenie dla ziemian prowincyi zachodnich.

Kamieniec Podolski. Rada miejska pogrążona w głębokiej drzemce, nie daje się rozbudzić nawet głośnem i natarczywem wołaniem obywateli miasta o zaspokojenie ogólnych potrzeb ludności. Oto wymowny przykład: 2-klasowa szkoła miejska może zmieścić zaledwie cząstkę dziatwy, poszukującej taniej nauki elementarnej. Skutkiem tego co rok mnóstwo rodziców wraca od drzwi zamkniętych z troską o niejasną przyszłość swych dzieci. Otworzenie klas równoległych usunęłoby tę troskę choć w części. Ale czyż ster miasta może ocenić tę doniosłą potrzebę? Niedawno szkoła poszukiwała dwu tysięcy rubli na odnowienie budynku. Posiadając tylko 800 rs., władza zakładu zakołatała do „dumy,“ która stanowczo odmówiła. Wobec takiego „zrozumienia“ potrzeb ogółu, obywatele miasta ustawicznie są narażani na szwank swych interesów. Oddawna np. rozlegają się skargi na wyzysk spekulantów różnorodnych, „robiących“ ceny dowolne, na brak dozoru nad rzeźnictwem itd.—Dochód lasów rządowych gub. podolskiej wyniósł w roku 1893 1,360,000 rs. W roku ubiegłym zysk ten zwiększył się prawie o czterysta tysięcy rubli.—Do gubernij, w których najprędzej będzie wprowadzony monopol wódczany, zaliczono między innemi podolską.

Kijów. Niedawno były rozważane losy niezamożnych studentów uniwersytetu moskiewskiego, obecnie taka sama kwestya budzi uwagę powszechną w Kijowie. Dziewięciu studentów *czwartego* kursu wydziału medycznego znalazło się pod groźą wydalenia za nieopłacanie wpisu. Wzięli ich w opiekę profesorowie i gorąco przemówili za nimi. Ale oprócz tej małej garstki, jest około trzystu ubogich na innych wydziałach i kursach. Ludziom tym, żądnym nauki, grozi wykolejenie być może na całe życie, jeżeli miłosierdzie publiczne nie pośpieszy z pomocą. Dla miasta bogatego, w którem przemysł i handel szeroko się rozpostarł i swoją potęgę w pewnej mierze zawdzięcza także nauce — zebranie 3,000 rs na zaspokojenie wpisów, byłoby bagatelką, tem bardziej, że owa kwota stanowiłaby zaledwie skromny procent od tych sum, które pochłaniają uciechy życiowe. Miejscowe pismo, *Żizń i iskusstwo*, przemawia do serc filantropów. Oby te nawoływania otworzyły ich worki napęczniałe!

Petersburg. Od nowego roku „Północna agencya telegraficzna“ przestała istnieć. Natomiast powstała „Rosyjska agencya telegraficzna,“ której właścicielami są wydawcy pism petersburskich i moskiewskich. Na dyrektora ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło rz. r. st. Pozniaka. — W lutym rozpoczynają się egzaminy na stopień technika kolei żelaznych. Do kandydatów należą młodzi ludzie, którzy skończyli gimnazyum i przynajmniej w ciągu roku jednego zajmowali się praktyką budowlaną pod kierunkiem inżenierów.—Z powodu procesu kontrabandzistów, prasa miejscowa szeroko się rozpisała. Między innemi zasługuje na uwagę głos *Now. Wrem.*: „Dla kupców proces ten jest dobrą nauką i nietylko dla objętych wyrokiem, lecz i wszystkich, którzy handlują kontrabandą. W ostatnich latach nie brakło tego rodzaju procesów. Były one w Petersburgu, w Moskwie, Warszawie, Wilnie, Charkowie i Odesie. Różnica pomiędzy tamtymi a petersburskim polega na tem, że w ostatnim wypadku pociągnięto oskarżonych do odpowiedzialności za utworzenie szajki. Za rozpowszechnianie kontrabandy winni podlegają, oprócz konfiskaty towaru, ciężkiej karze pieniężnej w wysokości 5-krotnej wartości towaru. Jeżeli zaś do oskarżenia o kontrabandę przybywa posądzenie o utworzenie bandy, wówczas winni osadzeni być powinni w więzieniu śledczem. Wreszcie, jak wskazuje ostatni wyrok, kupcom handlującym kontrabandą, grożą nietylko grzywny, lecz i ciężkie kary aż do zesłania np. do gubernii tobolskiej.“

SPRAWY ZIEMIAŃSKIE

TOWARZYSTWO ROLNICZE
DLA KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Projekt założenia w Warszawie Towarzystwa rolniczego dla potrzeb całego Królestwa podało [illegible] *Now. Wremia*. Istotnie, myśl ta zasługuje nietylko na uwagę, lecz i urzeczywistnienie. Dotąd bowiem kraj tutejszy w zakresie należytego załatwiania spraw rolniczych posiada warunki dziwnie nienormalne, pomimo że rolnictwo zajmuje wybitne miejsce w ogólnej wytwórczości i stoi względnie na dość wysokim szczeblu kultury, że wreszcie z dniem każdym rodzi się coraz więcej potrzeb, których nie można rozstrzygnąć w pogawędkach sąsiedzkich lub na miesięcznych posiedzeniach sekcyi rolnej. Jest ona dotąd właściwie jedynym organem, obejmującym sprawy ziemiańskie, a raczej ich tylko cząstkę teoretyczną. Według bowiem programu, zajmuje się odczytywaniem referatów, formułowaniem potrzeb dla przedstawienia ich instytucyi centralnej i to w bardzo rzadkich wypadkach, wreszcie—tworzeniem różnych delegacyj, których działalność również rzadko kiedy zaznacza się w praktyce. Od czasu do czasu stacya sobieszyńska zdaje sprawę ze swych doświadczeń; wreszcie niekiedy pośrednio spraw ziemiańskich dotyka sekcya cukrownicza, o ile ziemia rodzi materyał surowy do produkcyi cukru. Rozległe zaś pole spraw praktycznych, wymagające ogromnego rozgałęzienia pracy, zabiegów, czujności, tworzenia coraz nowych środków pośredniczenia w ich wykonywaniu, spoczywa dotąd odłogiem, bezwładnie, pokryte porostami pierwotności. Taki stan rzeczy razi tem bardziej, że prowincye, stojące o wiele niżej pod względem kulturalnym, mają oddawna swoje Towarzystwa ruchliwe, że posiadamy sporo już towarzystw, służących dla potrzeb, które zalodwie zaczynają tworzyć jakiś prawidłowy związek gospodarki, jak: ogrodnictwo i pszczelnictwo.

Gazeta polska, poruszając tę ważną sprawę, wkłada obowiązek urzeczywistnienia projektu na Towarzystwo kredytowe ziemskie, jako instytucyę, skupiającą w sobie ziemian wytrawnych, obeznanych z potrzebami kraju; tak samo należałoby liczyć na sekcyę rolną. Obie więc te instytucye powinny się porozumieć i wziąć się do dzieła, które tem łatwiej może przyjść do skutku, że, jak zaznacza pismo powyższe, jest przecież gotowa ustawa normalna, którą się posługują wszystkie Towarzystwa rolnicze w Cesarstwie. Myśl sama w zasadzie bardzo słuszna, na jedno wszakże zgodzić się z *Gazetą* nie możemy: że owa ustawa normalna jest wystarczającą. Istnieje ona od lat kilkudziesięciu bez żadnej zmiany, w wielu punktach zupełnie przestarzała.

Na tę przestarzałość zwrócono już w ostatnich czasach uwagę w ministeryum rolnictwa, a Towarzystwo mińskie samo dało początek reformy, mianowicie powierzyło opracowanie nowych przepisów pp. braciom Gordziałkowim i Snitce; po wprowadzeniu zmian, zaproponowanych przez pp. Aleksandra Łętowskiego i dr. Zygmunta Święcickiego, zatwierdzono je jednogłośnie. Jest więc nadzieja, że wkrótce wejdą one w życie. Otóż przy tworzeniu u nas Towarzystwa należałoby w znacznej mierze wziąć jako wzór program powyższy, którego zasadnicze zadania dadzą się streścić w sposób następujący: Celem instytucyi jest badanie warunków gospodarstwa, dążenie do ulepszeń, dopomaganie do rozwoju i postępu wszystkich gałęzi rolnictwa miejscowego. Obok teoretycznych rozpraw i odczytów, do głównych warunków działalności zaliczyć należy: wyszukiwanie najpraktyczniejszych sposobów prowadzenia gospodarstw, rozpowszechnianie wiadomości pożytecznych z zakresu rolnictwa, wyszukiwanie sposobów ulepszenia hodowli inwentarza żywego, zakładanie spółek i syndykatów rolnych, kupno z pierwszej ręki nasion, narzędzi, bydła rasowego itd., dla dostarczania członkom Towarzystwa; dążenie do ułatwiania zbytu wszelkich produktów rolnych; popieranie handlu leśnego i gospodarstw prawidłowych leśnych; przy współudziale członków dokonywanie doświadczeń z rozmaitymi sposobami kultury roślin, właściwych dla gospodarstwa miejscowego; urządzanie pól doświadczalnych, wystaw rolniczych; dawanie bodźca rolnikom, odznaczającym się szczególnie pożyteczną działalnością w zakresie kultury rolnej. Wyszukiwanie ludzi, praktycznie obeznanych ze swoim fachem, do prowadzenia gospodarstw rolnych i różnych przedsiębiorstw przemysłowych, nadto — rzemieślników i robotników. Wykonywanie zobowiązań, których się podejmie Towarzystwo względem innych instytucyj. Zbieranie danych statystycznych z zakresu rolnictwa. Dążenie do podniesienia poziomu gospodarstw włościańskich tudzież drobnych obywatelskich, przez ulepszenie w nich hodowli inwentarza, rozpowszechnienie lepszych gatunków zboża i traw pastewnych, dostarczanie odpowiednich nasion i narzędzi rolniczych, wreszcie przez zachęcanie rolników tej kategoryi do udziału w wystawach. Staranie u władz o przedsiębranie środków ku usunięciu przeszkód w rozwoju rolnictwa miejscowego. Do Towarzystwa mogą należeć osoby płci obojej, nawet nierolnicy. Instytucya ma prawo sprowadzać z zagranicy na-

siona, narzędzia rolnicze, bydło rasowe, nawozy sztuczne itd. za pośrednictwem komisyonerów, bez opłaty cła i świadectw gildyjnych, o ile przedmioty owe mają służyć do celów naukowo-doświadczalnych. Na zebraniach Towarzystwa mogą być obecni goście z prawem zabierania głosu.

Te wszystkie punkty, któreśmy tu przytoczyli, przyszłe Towarzystwo rolnicze dla Królestwa Polskiego mogłoby bez żadnych zmian przyjąć całkowicie. Niektóre paragrafy ustawy są szczególnie ważne, np. zaliczanie nierolników w poczet członków i prawo zabierania głosu przez gości. Tym sposobem wielu ludzi trzeźwo i szeroko patrzących na zjawiska życia ekonomicznego, może udzielać pożytecznych rad i wskazówek, co nieraz uchroni Towarzystwo od chodzenia po wązkich dróżkach. Dalej: wyszukiwanie ludzi, praktycznie obeznanych z fachem, tudzież rzemieślników i robotników, przez co rozumieć należy pewien rodzaj pośrednictwa między pracownikami a pracobiorcami. Zbieranie danych statystycznych z zakresu rolnictwa, a więc uświadamianie potrzeb ogólnych i wchodzenie poniekąd w zakres giełd zbożowych. Gdyby zaś te ostatnie istniały, mogłyby się posługiwać materyałem, zbieranym przez Towarzystwo. Pokrewną i nadzwyczaj ważną czynnością jest także ułatwienie zbytu wszelkich produktów rolnych, kupna z pierwszej ręki nasion, narzędzi, bydła rasowego itd. Dość szeroki jest również program w dziale naukowo-doświadczalnym.

Obecna chwila jest najodpowiedniejsza do pomyślenia o takiej niezbędnej instytucyi dla Królestwa Polskiego, tem bardziej, że pierwsza rada rolnicza, której posiedzenia otwarto przy ministeryum 19 b. m., postanowiła stworzyć podkomisyę dla narad nad kwestyą, dotyczącą „projektu ustawy normalnej dla lokalnych towarzystw rolniczych.“ W chwili tej jednak sekcya nasza ani jednem słówkiem nie potrąciła o sprawę nowego ogniska, natomiast dużo rozprawiała o syndykatach rolnych we Francyi i dorzuciła słów parę o potrzebie tworzenia ich u nas. Głównie chodzi o takie związki, które pozwalałyby rolnikom naszym tanio nabywać niezbędne przedmioty, łatwo sprzedawać wytwory i tem samem dążyć do zniżenia kosztów produkcyi. Poniekąd zachętą i przykładem dla naszych ziemian może być związek podobny w gub. kowieńskiej, rozwijający się świetnie z pożytkiem dla stowarzyszonych, wreszcie świeżo założony w Kijowie dla rolników prowincyi południowo - zachodnich. Sekcya, podając projekt tworzenia syndykatów na wzór francuskich i wogóle zawiązywania drobnych stowarzyszeń na prowincyi, chce budować gmach bez fundamentów, zapominając, że tam, gdzie istnieją tego rodzaju ogniska drobne, są nadto instytucye,ześrodkowujące wszelkie sprawy przemysłu i handlu rolnego i że działają one w odmiennych niż u nas warunkach ekonomicznych i kulturalnych. We Francyi syndykaty takie poświęcone są wyłącznie sprawom praktycznym, w Niemczech nie ma ich wcale, natomiast istnieją wolne towarzystwa na zasadach decentralizacyi. Jest ich tam bardzo dużo, przeszło *1,500*. Między innemi mają one na względzie interesy włościan, a w prowincyach południowych i zachodnich nawet są przeważnie włościańskie, t. z. *Bauernvereiny*, gdzie przewodnikami i nauczycielami bywają rolnicy ukształceni. Tym drobnym instytucyom zarzucano nieraz działalność zanadto teoretyczną. Byłaby może ona niedobra u nas, jako wyłączna lub przeważająca. Ale w Niemczech panują inne stosunki— pośrednicy nie obdzierają tak strasznie swej klienteli, lecz skutkiem ogromnego współzawodnictwa dają znaczne rabaty. Rolnicy mogą mieć od hurtowników tanio wszelkie przedmioty niezbędne, o ile kupują za gotówkę albo weksle kilkomiesięczne. Gdzie zaś technika w rolnictwie tak wysoko jest rozwinięta, tam działalność teoretyczna również wielkie usługi oddaje. Te drobne ogniska, rozrzucone gęsto po całem państwie, mają swoje środowiska, wiążące je i skupiające w sobie ważniejsze sprawy. Były to dotychczas towarzystwa w każdej prowincyi, dzisiaj zaś powstają izby rolnicze, dla odegrywania również roli szerszego regulatora spraw, ułatwiającego bieg interesów rolnictwa.

W Rosyi niedawno p. minister dóbr państwa i rolnictwa w okólniku do członków rady zaznaczył znamienny fakt, że ze wszystkich stron państwa napływają ciągle prośby o pozwolenie na zakładanie drobnych stowarzyszeń prowincyonalnych, których zadaniem byłaby pomoc wzajemna członków dla utrwalenia ich podstaw drogą zdobycia środków taniej produkcyi, ułatwień kupna i sprzedaży. Prawdopodobnie pod wpływem tych żądań wniesiono właśnie na porządek dzienny projekt normalny ustawy dla lokalnych towarzystw rolniczych. Ułatwiłaby ona znacznie pod względem formalnym tworzenie tych związków, gdyż sądzimy, że wobec przepisów normalnych członkowie zawiązujących się stowarzyszeń mogliby tylko zawiadamiać odpowiednie władze o fakcie a nie wyjednywać pozwolenia drogą zwykle zawiłą. Same atoli ogniska, bez centrów skupiających ich sprawy, mogą się stać wątłymi organami o pięknych usiłowaniach i jałowej pracy, szczególnie tam, gdzie pośrednictwo omotało pierścieniem wyzysku wszystkich wytwórców, gdzie spekulacya stara się ślimakom, przyrosłym do skorupy, zasłaniać drobne światełka, wskazujące zjawiska i warunki ekonomiczne na szerszym świecie. W Cesarstwie są instytucye centralne, jak Towarzystwo wolno-ekonomiczne w Petersburgu, Towarzystwo rolnicze w Mińsku, Witebsku, Kijowie itd., wreszcie gdzie ich niema, niepoślednią rolę odgrywają ziemstwa, które przyczyniają się do tworzenia instytutów agronomicznych, stacyj meteorologicznych, składów narzędzi rolniczych, zaopatrują ludność w nasiona, zaprowadzają hodowlę bydła rasowego, toczą walki z epizootyami, szarańczą, susłami itd.

Gdzie istnieje w ten lub podobny sposób zorganizowana działalność, za pomocą ognisk,ześrodkowujących interesy danych obszarów, tam wszelkie stowarzyszenia, związki, syndykaty nie rozpadną się i nie utoną w bezpłodnych wysiłkach. Tymczasem nasza sekcya chce właśnie zacząć od tego, co tylko może być rozgałęzieniem działalności instytucyi centralnej. Nowa ustawa Towarzystwa mińskiego mówi o zakładaniu spółek i syndykatów rolnych, otwieraniu oddziałów w miastach mniejszych dla ułatwienia najstaranniejszego rozstrzygania kwestyj, tudzież dla nawiązywania łączności ekonomicznej. Drobne związki mają prawo tworzyć zamieszkali na wsi członkowie Towarzystwa (najmniej pięciu) i do pracy wspólnej zapraszać rolników-nieczłonków. Jest to warunek bardzo ważny, gdyż tym sposobem do organizacyi mogą wejść wszyscy rolnicy, co ułatwi gruntowne zbadanie wszelkich potrzeb i spraw rolnictwa. Pomyślmy, o ile to łatwiejsza byłaby sprawa, wychodząca z ogniska, niż samodzielne odrębne gromadki, których działalność rozproszona, bez żadnej spójni z ogólną organizacyą, nie może przynieść prawie żadnego pożytku, ani zapewnić sobie trwałości. Otóż przedewszystkiem należy u nas pomyśleć o Towarzystwie z możliwie najobszerniejszym zakresem, do którego trzeba włączyć także powyższe szczegóły ustawy mińskiej. Jego obowiązkiem byłaby pomoc w prawidłowem i rozumnem organizowaniu wszelkiej pracy zbiorowej, oddziałów, stowarzyszeń, wystaw, zjazdów, pól doświadczalnych, stacyj meteorologicznych, pośrednictwo w nabywaniu narzędzi, nasion, w sprzedaży produktów rolnych na dogodnych warunkach. Nadto, jeśli nasze nawoływania przed kilku tygodniami do założenia Towarzystwa weterynaryjnego nie przyjdzie do skutku, należałoby przy Towarzystwie rolniczem utworzyć sekcyę weterynaryjną, dalej: młynarską, leśną, gorzelniczą i in. Nowa instytucya miałaby tak ogromny program działań, że niepodobna na razie rozwinąć go szczegółowo w tem miejscu.

Zen. Piet.

Skutki zniżonej taryfy. *Gazeta polska* donosi, iż źle się dzieje komiwojażerom firm tutejszych, którzy powyjeżdżali, jak zwykle, w środku zimy z artykułami mód wiosennych. Wielu z nich, szczególnie przedstawiciele firm kapeluszniczych, powróciło z Cesarstwa przedwcześnie, bez żadnych zamówień, gdyż wszędzie dawniejsi nabywcy powiedzieli im, że dzięki [illegible]. Dawniej wycieczki takie opłacały się tylko w razie wielkich zakupów. Specyaliści - komiwojażerowie uskarżają się także na współzawodnictwo ochotników, którzy poszukując zarobku, pośredniczą przygodnie [illegible].

— [illegible] mało od ministeryum rolnictwa stały zasiłek po [illegible] rs. rocznie na trzy lata dla prowadzenia wzorowej hodowli wraz z praktyczną nauką.

— Na wprowadzenie monopolu wódczanego w 25 guberniach wyznaczono 10 milionów rubli.

— Budżet państwowy zamknięto przewyżką w dochodach zwyczajnych nad wydatkami w sumie 23 mil. rubli.

— W b. m. odbyła się narada przy departamencie handlu i rękodzieł w sprawie pomocy producentom maszyn rolniczych. Zalecono: ułatwienie kredytu i wydawanie pożyczek, zniżenie taryf i dostarczanie wytwórcom na warunkach ulgowych materyału surowego z zakładów górniczych rządowych, oraz drzewa z majątków skarbowych. (*Birż. Wied.*)

— Kantor warszawski Banku państwa rozpoczął wydawanie zaliczek pod zastaw owiec.

— W Rostowie nad Donem fabrykanci łódzcy otwierają pierwszą południowo-rosyjską fabrykę sukna.

— Nowa ustawa giełdowa uznaje meklerstwo za profesyę wolną, lecz pozostającą pod kontrolą.

— Grono rolników z powiatu zwinogródzkiego gubernii kijowskiej opracowało ustawę „Towarzystwa rolniczego zwinogródzkiego,“ z zamiarem złożenia go do zatwierdzenia ministeryum dóbr państwa i rolnictwa. Działalność projektowanego towarzystwa obejmie [illegible].

KRONIKA.

Przyjazd. J. E. Paweł hr. Szuwałow, generał gubernator warszawski, przybył 19 b. m. z Berlina do Warszawy i objął urzędowanie.

Mianowania. Ministrem komunikacyi został mianowany ks. Chilkow. Generał Petrow pozostanie nadal na stanowisku towarzysza ministra komunikacyi.

— Pomocnik warszawskiego general-gubernatora, senator generał-lejtenant bar. Medem, mianowany zostaje generał-gubernatorem wileńskim, jego zaś dotychczasowe stanowisko objąć ma gubernator charkowski r. t. Petrow. (*Petersb. listok*).

Sprawy społeczne. Minister skarbu przedstawił radzie państwa projekt zniżenia o 3,750,000 rs. rocznie opłaty, pobieranej przy zmianie tytułu własności ziemskiej. (*Now. wrem.*)

— Na posiedzeniu rady rolniczej w Petersburgu postanowiono zorganizować podkomisyę dla rozpatrzenia sprawy „projektu ustawy normalnej dla lokalnych towarzystw rolniczych.“

— *Petersb. Listok* pisze, iż spółka artystów teatrów cesarskich, która zamierzała przybyć do Warszawy podczas Wielkiego postu, rozchwiała się, wskutek czego przyjazd nie nastąpił.

— Magistrat warszawski rozpoczął wydawanie bezpłatnych świadectw wysłużonym żołnierzom i ich rodzinom na prowadzenie w r. b. drobnego handlu.

— W dniu 2-im lutego odbędzie się koncert na rzecz niezamożnych studentów uniwersytetu, w salach redutowych.

— W Finlandyi powstaje towarzystwo rozpowszechniania języka rosyjskiego.

— Ministeryum rolnictwa sprowadziło do Wologdy 6-ciu duńskich fabrykantów masła dla obznajmienia z tą gałęzią przemysłu i odpowiedniego przysposobienia mężczyzn i kobiet rosyjskich. Sprowadzonym majstrom wyznaczono pensye po 900 rs. oprócz kosztów podróży.

Szkoły. Ministeryum finansów postanowiło przyśpieszyć reformę wykształcenia handlowego. Nowa ustawa wejdzie w życie w ciągu roku szkolnego 1895/96. (*Grażdanin*).

— Doktorka medycyny, p. Bronisława ze Skłodowskich Dłuska, otrzymała w Paryżu za rozprawę doktorską: „Przyczynek do nauki o karmieniu macierzyńskiem“—medal bronzowy.

— W Finlandyi powstanie w r. b. dziesięć szkół ludowych rosyjskich.

Koleje i komunikacye. Dla lekarzy i felczerów, jadących w interesach służby, ustanowiono taryfę w stosunku $^3/_4$ kopiejki za wiorstę bez podatku państwowego.

— Ministeryum komunikacyi zwróciło uwagę, że towarzystwa żeglugi na Wiśle nie posiadają porozumienia z kolejami względem bezpośredniej komunikacyi i różnią się tem od wszystkich innych towarzystw żeglugi w państwie. Sprawa ta będzie przedmiotem obrad petersburskiego zjazdu właścicieli statków parowych, który odbędzie się w lutym r. b. (*War. Dn.*)

— W Petersburgu odbywają się próby z drezynami czyli wózkami benzynowemi, systemu Legranda. Próby takie będą przeprowadzone również na kolejach w Królestwie Polskiem.

— Komitet ministrów postanowił przeznaczyć z reszty kapitału zakładowego kolei Południowo-zachodnich 10% dla zarządu i 15% dla oficyalistów tych dróg.

Wystawy i zjazdy. Na zjazd młynarski w Petersburgu udali się z Warszawy fachowcy i przedstawiciele prasy. W sprawie tej odbyło się w Towarzystwie popierania rusk. przemysłu i handlu specyalne posiedzeń.

— W czasie wystawy w Niżnim Nowgorodzie zwołane tam będą zjazdy fabrykantów żelaza i maszyn rolniczych.

— Robią się starania o urządzenie w Petersburgu zjazdu hodowców owiec i fabrykantów, przerabiających wełnę.

— 27-go kwietnia r. b. odbędzie się w Warszawie zjazd przedstawicieli telegrafu kolejowego. Omawianą ma być sprawa telefonów i elektrycznego oświetlenia pociągów.

— Komitet Muzeum rzemiosł powziął myśl urządzenia w maju r. b. wystawy umeblowań stylowych.

Zdrowie publiczne. Korzystając z pozostałych po szpitalikach epidemicznych przyborów, władza zamierza urządzić stałe lazarety w punktach bardziej zaludnionych i oddać je pod nadzór felczerów gminnych i powiatowych.

— Punkt obserwacyjny w Nowosielicach zamknięto z powodu wygaśnięcia epidemii w Galicyi i na Bukowinie.

Dobroczynność publiczna. W lutym odbędą się dwa koncerty na rzecz przytuliska oraz przytułku dla starców i kalek, przy udziale pierwszorzędnych sił dramatycznych.

OFIARY

Na wpis dla uczniów: Bezimienne rs. pięć.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 13 Января 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.